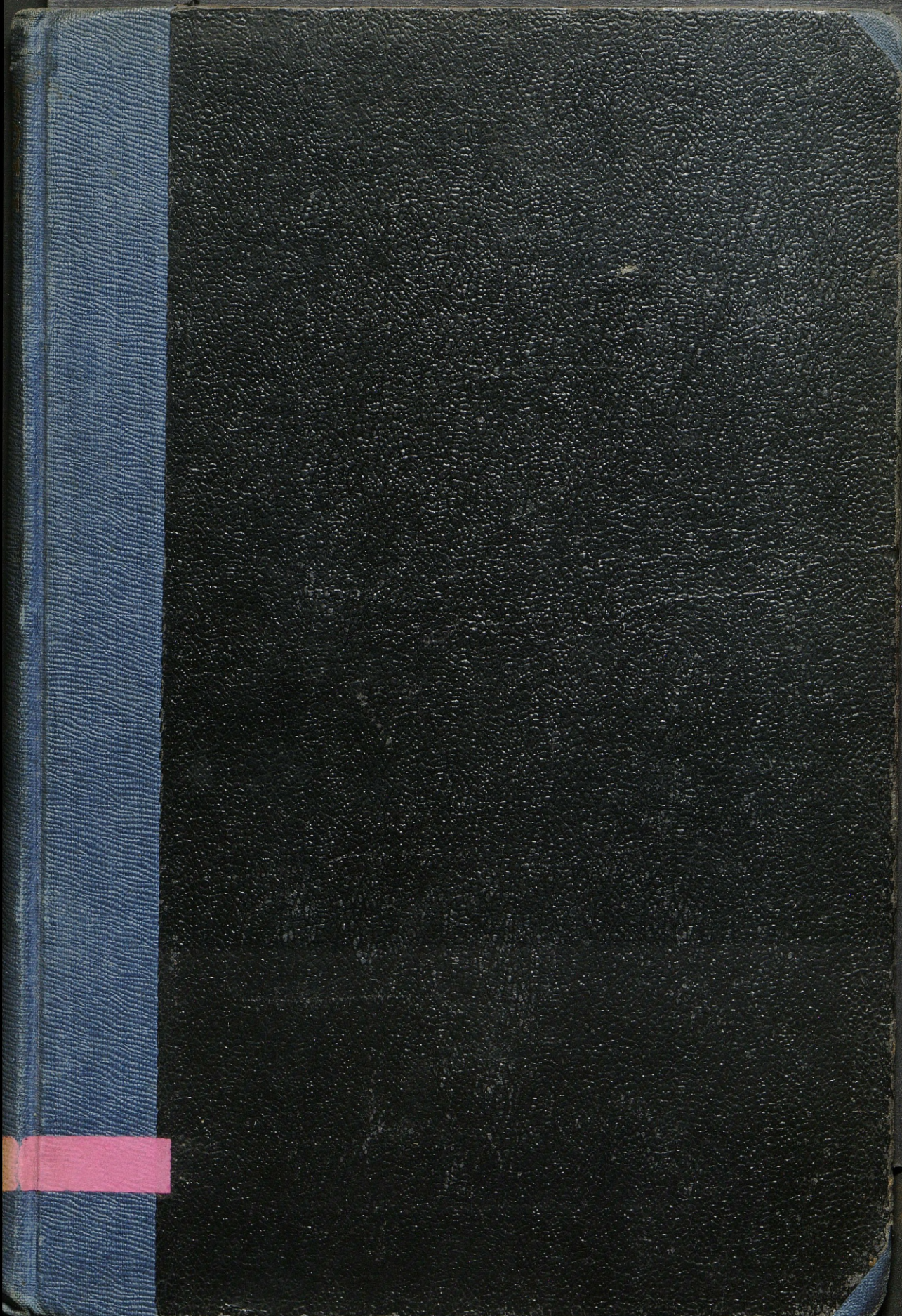
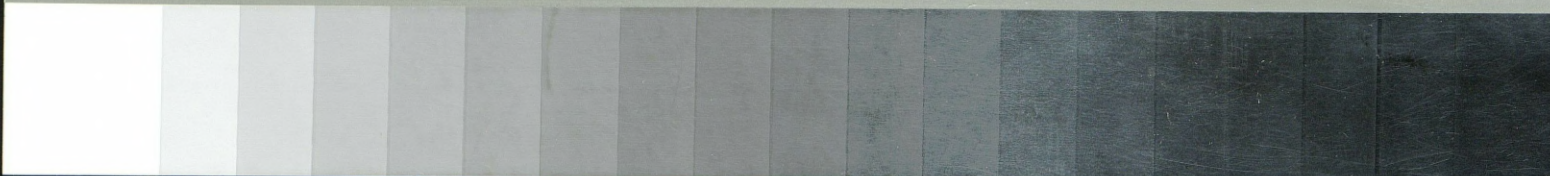
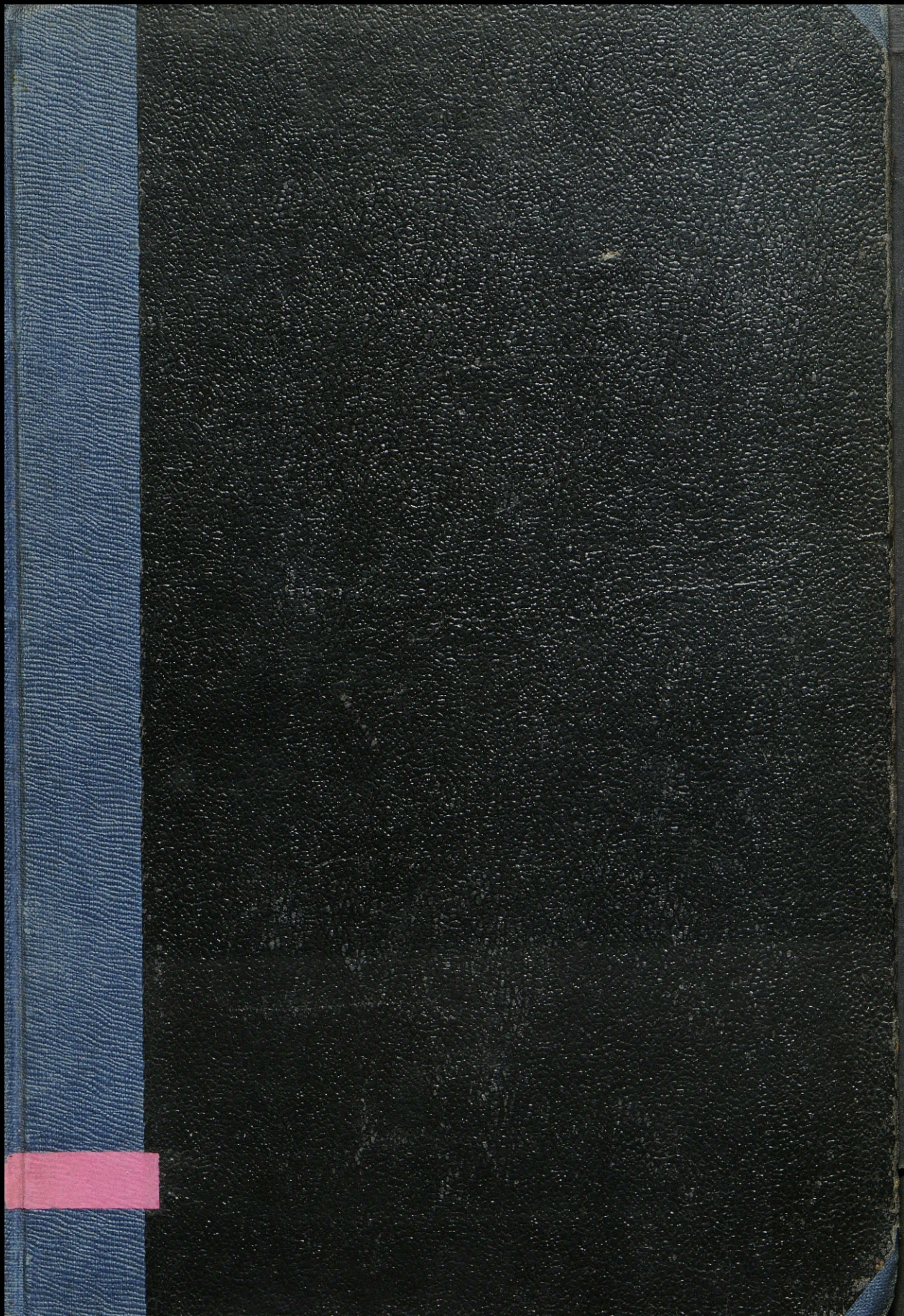


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





W O J N A

4405n
a

KS. FELIKS MIESZKIS (CZERSKI).

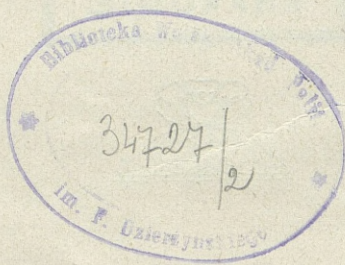
W O J N A



DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I U AUTORA,
P-TA MIELNIK N/BUG.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.



TEGOŻ AUTORA JEDNOCZEŚNIE WYDANO:

Noc nad Europą.

W druku:

Rewolucja.

W przygotowaniu:

Ogień, morze i kobieta (haec tria sunt mala).

Wrogowie życia.

Walka o naprawę życia.

Dobro i zło.

Demonologia.

Defekty „wiary” i filozofja niewiary.

Poleca się uwadze i względom pp. wydawców.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Wstęp do „filozofji” wojny	5
P. Bóg na wojnie	14
Małpocząłowiek	18
Proch	20
O koniu i jego roli na wojnie i w życiu po wojnie .	26
Prawo wojny	33
Młodość	38
Dyplomacja	42
Polemos propater	49
Motor wojny	53
Miłość	56
Radjo	62
Apologia wojny	66
Pokój	73
Straty	79
Skutek wojny	85
Wycieńczenie	89
Ofiary	92
Opjum	95
Smutny epilog	98

Wstęp do „filozofji“ wojny.

Jak jedno polano nie może się palić, tak nikt sam ze sobą nie może się kłócić. Najwyżej może nazwać siebie idiotą, bez żadnej dla siebie satysfakcji i zgoła bez komplikacji dla nikogo. (Nie wyzywa siebie tylko zupełnie i we wszystkim zadowolony z siebie). Można też tak nazwać swego przyjaciela lub współnika, byle nie słyszał tego, czy udał, że nie słyszy, albo wroga, by najdokładniej zrozumiał, a już myśleć najgorsze o najlepszym przyjacielu nie tylko nie zabrania się, ale wręcz się nakazuje. Mówi się dobrze i myśli najlepiej tylko o sobie. Ale do tego też trzeba przynajmniej dwóch. Musi być admirator mowy i podzielnika myśli, choćby tylko nazewnątrz. Stale admirować siebie dokuczy, a raczej zjawia się chęć rozszerzenia terenu, a dzielić swoje myśli między siebie dla siebie i nudno i trudno. Stąd pęd socjalny i zbijanie się w partje, kliki i kluby. Cudze myśli nie są ciekawe, kiedy się ma swoje i są zbędne, kiedy czyn, choćby bezmyślny, decyduje o myśli. Ale cudze są ciekawe, kiedy niema swoich, i zjawia się konieczność ufundowania kryterjum cudzej bezmyślności.

Stale admirować siebie może tylko zupełnie niebywający u siebie, nieznajomy ze sobą, nieprzytomny i nieobecny. Człowiek jest rzadkim u siebie gościem, nie lubi zaglądać tam, gdzie nic nie położył, i zazwyczaj nic nie zbiera, gdzie nikt nie posiał. Natomiast lubi cudze zasiewy, miejsca zasiedziałe, dróżki wydeptane, legowiska zajęte, rzeczy położone przez innych, fundamenta i cokóły bezimiennie zbudowane, ofiary ludu i zdobycze cudzej inteligencji. Sam mebluje swoje wnętrza, maluje swoje obrazy i dekoracje, rozwiesza je wśród swoich czterech ścian, ale woli umeblowane pokoje, wynajęte dekoracje, cudze gusty i obrazy cudzego pędzla. Jeśli jest, uchowaj Boże, artystą, to niezadowolonym ze swego piękna, jeśli od ciężkiego dopustu myślicielem, to przekonany, że niema racji robić ze siebie rzecz-

nika prawdy i ujścia dobra, niema racji wogóle o sobie mówić, bo jak już mówić prawdę, to niema racji być zadowolonym ze siebie i mówić sobie z uznaniem: dobrześ wszystko uczynił. A jednak serdecznie nas boli, jeśli publiczność też nie wierzy w naszą mądrość i wielkość. Na szczęście artystów coraz mniej, a myślicieli w nawiasach coraz więcej.

Rozdwajamy się zazwyczaj na nierówne części: na siebie bez fasonu i stylu, czyli jakim się jest,—sympatycznym lub nie, pantoflowo miłym lub gburom i z drugiej strony siebie jako przedmiot obserwacji, walor, poza i uroczystość. Ta druga strona ma swoje zadawnione i umówione prawa: nikt nie przerywa uroczystej ciszy uznania i pochwały okrzykiem—idjota! Nikt nie zjawia się na obchód czyjejsz zasługi, zwłaszcza dla uczczenia siebie, w paradnym uniformie, ale w pantoflach. Tylko we śnie, t. j. kiedy nie władamy swoim uniformem, zdarza się, że w najparadniejszej chwili jesteśmy bez spodni, lub co gorsza bez futerału lub innego uniformu. Ale sen jest wyrozumiałym na takie wykroczenia, jedynie we śnie nie sprawiamy kłopotu innym, a tembardziej sobie. W rzeczywistości jesteśmy, lekko mówiąc, zbyt teczni dla innych i ciężarem dla siebie, a to przeważnie z racji nieustępliwości innym, a uległości sobie. Nie ustąpić za żadną cenę i w niczem:—oto sen i jaw naszej iluzji i rzeczywistości.

Z kompleksu swej wiedzy nie można nic oddać, bo cóżby zostało? ze swego piękna i dobra nie da się nic ująć, bo one są w iluzji. Skąpy niema nic do oddania i nie zazdrości posiadaczom, tylko zazdrośnie strzeże pustego skarbu. Iluzja życiem człowieka; prysk iluzji oznacza koniec. Tylko śmierć zdziera maski, zasłony oraz opuszcza kurtynę. Śmierć, jedyna z rzeczy twardebewzględnych, jest uzgodnieniem i ustępstwem nawet wobec iluzji, która jest śmiercią rzeczywistości i cieniem ideału. Śmierć ustępuje iluzjom, a one jej ustępują. Można nie ustąpić nikomu aż do śmierci, ale trzeba żyć ustępstwem na rzecz iluzji i aż do jej śmierci, cichej i naturalnej. Ze śmiercią się walczy o życie — iluzji. Wszystko, co zwalcza naszą całość, co się kładzie kamieniem na drodze do wyobrazonego szczęścia, co ciska oszczerstwem, lub rozwiewa mydlane banki domniemanej mocy, jest wrogiem, na zwalczenie którego nie szkoda kosztów i fatygi, nie szkoda samych iluzji i ich końca — śmierci. Dlatego tak trudno ustąpić, tak niemożliwie się zgodzić, tak łatwo o kłótnie. Ustąpić może tylko mądry i to z wysiłkiem całej swej mądrości.

Bo ustąpić—znaczy oddać, znaczy mieć coś do oddania. Niekoniecznie oddawać rzecz realną i niekoniecznie znać jej cenę i rozumieć wartość; lepiej nie rozumieć, bo wtedy się wydaje, że oddajemy coś tak wielkiego i bezcennego, czego nie należy oddawać za żadną cenę, podobnie jak nie należy widzieć nagości króla z bajki, odrażającej szpetności otoczenia, nieracji jego kłótni i śmiesznej nadętości samochwalczej, nieustępliwej i pysznej jaźni głupstwa.

Nierozumny nigdy nie ustąpi, bo wraz z ustępstwem musiałby oddać siebie, delję swojej wielkości i kołpak z brylantem swojej cnoty rodzinnej i osobistej. Z nieustępliwości powstaje walka, a z tego wojna. Tkwi ona korzeniami nie tylko w płytkiej warstwie interesu i plemiennej nienawiści, — wprowadzie tu się rozgałęzia cała masa korzonków, ich korona i siła, odżywianie się i radość, ale główny pion korzenny sięga w głębokie podglebie filozoficznej bezwartości jaźni, gdy się ją pozbawi iluzji, na którą czyha zawzięty wróg życia—śmierć i jej towarzyszy człowiek, największy wróg swego i cudzego życia, rabuś jego walorów, brutal wobec kryształowego cudu omamień, tyran marzenia o szczęściu i własnoręczny niszczyciel radości człowieka, kobiety i dziecka.

* * *

Żeby się kłócić trzeba przynajmniej dwóch, a im więcej tem lepsza kłótnia, tem smakowitszy wynik. Gdzie dwóch się kłóci, tam zbiera się dwustu widzów, gdzie dwustu się kłóci, o tem wie dwadzieścia milionów i myślą, słowem i czynem są z nimi;—gdzie miliony poruszają żuchwami, najeżają się bagnetami, otworzą paszcze armat i żygną ogniem i przekleństwem — tam wojna. Przyczyna we wszystkich trzech wypadkach jednakowa: głupstwo w różnych odmianach, a powód tak bagatelny, że tylko człowiek może zań oddać życie, jako mniej warte od bagateli.

Jak przyczyną palenia się polana jest ogień i czyjaś wola, tak przyczyną wojny jest ogień z jednej ręki i dwóch polan, do których im więcej się dorzuci, tem lepiej. Położone mimo woli i chęci palą się, bo od tego jest ogień, by palił i polano, by się paliło. Tem się tłumaczy łatwopalność wojen, ich częstość i powszechność. Dopóki człowiek nie przestanie być polanem,

a ogień ogniem, — będą wojny. Jeden napada, drugi się broni od napadu i od zarzutu, że sam pierwszy napadł. Każdy jest drugim, każdy zaczyna liczyć od dwóch, zwała winę na pierwszego nieistniejącego, co zawsze winien, bo go niema. Trzeci pomaga pierwszemu nieobecnemu, temu co zawsze miły jako nieobecny, ale życzy powodzenia drugiemu, któremu pomaga czwarty. Ta figura algebraiczna z jednym niewiadomym byłaby dziecinnem zadaniem, gdyby nie wola starszych dzieci i chęć zdzieciniałych mężów zabawienia się w ciuciubabkę z niewiadomym X, wiadomym wszystkim, prócz niechających wiedzieć. Winien zawsze niewiadomy, lub ten, co przegrał. Nie płaci bogaty, lecz winowaty. Ten co przegrał, zawsze płaci, choćby był niewinny, czasem płaci ten niewiadomy, ale wtedy terminy jego płatności są pisane na wodzie, jego zobowiązania, weksle, traktaty i umowy są gwizdnięciem.

Winowajcom tylko P. Bóg odpuścił, ludzie nie; nie odpuszczą nawet niewinnym, — nawet P. Bogu, że odpuszcza winowajcom, jak niektórzy nie przebaczyli Chrystusowi, że przebaczył cudzołożnicy. U nas tak: jeden z dwojga winien, nie tak znowu bardzo, żeby mu nie można odpuścić, wytrzepawszy po pysku, — ale powieśmy dla pewności obu. Piłat uniewinnił Jezusa, ale wydał Barabasa, żydzi obu ukrzyżowali. Piłat uniewinnił Jezusa, ale Go skazał na biczowanie, które mało kto wytrzymuje, chociaż wiedział, że żydzi Go potem ukrzyżują. Żydzi przyjęli wyrok z zadowoleniem, bo co to szkodzi, że ktoś więcej pocierpi, niż było w programie. My też leczymy skazańców, by ich potem powiesić. Przebacza tylko ten, co nic nie rozumie: kobieta i dziecko i to nie zawsze. Kiedy się dochodzi do używalności rozumu, wtedy się wie, że przebaczyć wrogowi znaczy tyle, co prosić krokodyla na kuma, a wilkowi powierzyć edukację syna. Wroga trzeba uścisnąć, by udusić, kochać — ale jego cień z Acherrontu, pamiętać o nim mile, ale w świętej pamięci.

Przyczyna zwady leży, wstyd powiedzieć, w pieniądzech i w ich równowartości, w ziemi, o którą się toczy odwieczny spór i proces, o wspólną matkę i wspólny grób wszystkiego. Posądzić kogoś, że żyje lub czyni dla pieniędzy, że pieniądze dlań droższe niż honor i spokój, znaczy znieważać. Ale dla tych samych racji, oraz dla zniewagi siebie i innych nie tylko można wojować, ale należy, jest obowiązkiem każdego zdrowego na ciele i umyśle, świętą powinnością mężczyzny i obywa-

tela, dla której ojciec spokojnie i z godnością odda syna. Wolter, moralny udziałowiec rozbioru Polski, przyjaciel króla fletnisty i cesarzowej kurtyzany, w swoim czasie pisał, oczywiście do kogoś nienoszącego korony: „Czy wiesz, że w chwili kiedy mówię, sto tysięcy szaleńców ubranych w kapelusze morduje sto tysięcy ubranych w turbany, lub też ginie z ich ręki, i tak prawie na całej powierzchni ziemi i od niepamiętnych lat? Chodzi o jakąś kupę błota; to nie znaczy, aby którykolwiek z tysięcy ludzi zarzynających się wzajem, miał pretensję bodaj do okruszyny z tej kupy błota, chodzi tylko o stwierdzenie, czy będzie należała do pewnego człowieka, którego nazywają sułtanem, lub do drugiego, którego nie wiem dlaczego, nazywają cezarem. Ani jeden ani drugi nie widział i nie zobaczy tego zakątka ziemi; prawie żadne zaś ze zwierząt, które mordują się wzajem nie widziało zwierzęcia, dla którego idzie na rzeź”.

Pieniądz, mimo że papierowy, lub okrągły, c'est pour mieux rouler jest cieniutką sprężyną czasu i spraw małych i ważkich, jest wylotem ciężkiej armaty, jest biegunem ziemi, elipsą świata i pierścieniem Saturna. Za pieniądze, których wartość problematyczna, a bezwartość, jako dźwigni postępu, bezsprzeczna, kupuje się niemal wszystkie wartości i sprzedaje się każdą bezwartość. Fra Diavolo (kłania się), bandyci, feudalni baronowie, piraci, flibustjerzy, kondotjerzy, Cortes i Pizarro byli naszymi nauczycielami w naszym dzieciństwie i są zwykłymi urzędnikami w dojrzałości naszej sztuki wojennej, w międzynarodowym jenerałnym sztabie. Stracić pieniądze, mówi doświadczenie, to jeszcze nic nie stracić, stracić czas, znaczy wielką stratę ponieść, ale duszę stracić, to wszystko stracić. Inaczej na świecie: dusza oznacza tyle, co metafizyczny walor lub zgoła komórka, czas jest drogi, bo chociaż to niezupełnie pieniądze, ale jego rachmistrz: bez czasu i pieniędzy niema wartości, ale bez pieniędzy czas wart jest zabicia, bez pieniędzy niemożliwe nic, nawet wojna. Dla niej pieniądze są potrójnie potrzebne, pożyczają się je pod zastaw nadziei, że się stokrotnie odbije. Bez pieniędzy Napoleon wkłada szlafrok i pantofle, Wilhelm rąbie drwa, Kromwel kładzie kompresy na chorą wątrobę. Ale nadzieję są złudne. Niejeden Pirrus i Napoleon wzbogacił się na wojnie, i niejeden Hindenburg jadł z niej gorzki chleb zawodu i pił mętną wodę odwetu. Na wojnie stale się bogacą tylko żydzi, odkąd Tytus oduczył ich wojowania. Powinni mu wystawić w Jerozolimie pomnik

z banknotów, naturalnie fałszywych. Tylko dla nich wojna jest dobrym interesem, chętnie ją finansują i jeszcze chętniej do niej podjudzają (od Juda).

Rachunek na zimno, długie kalkulacje sztabu, wagi precyzyjne nijakich walorów, wiadomości pewne a wykradzione, słęczenie nad mapami szachownicy wątpliwego szczęścia, szach królowi w imaginacji i rzeczywisty mat wszelkim przewidywaniom,—oto sprzężyny tajemne i jasnowidzące ociemniałego czynu wojny. Poszukuje ona klucza od tajemnic życia w materji i śmierci. Ich przesadne wywyższenie staje szpetną i dziobatą twarzą w twarz ognistą niecierpiącego zwłoki pradawnego dylematu, szalonego hazardu gracza ostatniej stawki: aut Caesar aut nihil, Fer aut feri (cierp lub bij), Mars furioso, albo cichy pucobut, Cud Wisły, albo „cud w piwiarni”. Wybór jasny: lepiej zadawać cierpienie, niż cierpieć, widząc cudzą radość i dostatek. Lepiej umrzeć na polu chwały, na oczach pięknej Heleny, jako szalejący Achilles, niż być koniem, choćby trojańskim. Jeszcze lepiej wlec ciało wroga i samemu żyć, jednemu uciec z pod Termopilów, być żywym świadkiem klęski, niż figurować pod mogiłą bezimiennych bohaterów.

Zwornik łukowych kombinacji zakończony, zawisła olbrzymia kopuła Katedry św. Piotra na przedziwnie lekkich filarach, wielka rewja sił zakończona z dodatniem saldem, sylogizm przesłanek illogicznych postawiony, pieśzcotliwe obietnice rzucono w masy wiecznie głodne obietnic, komplikacje uszeregowano, lonty zapalono, manifesty piszą skryby od entuzjazmu, stado wali pod pałac króla, wróg ośmieszony i niemal pokonany, niebawem ryk armat i syk rozdzieranych świstków papieru, traktatów honoru i klauzul danego słowa zagłuszą trwogę tchórzliwych, płacz kobiet i zbyt cichą niechęć masy. Ptakby zapłakał, i końby się uśmieł, ale ptaki uleciały, śpiew ustał, Muza zamilkła,—zostały wrony. Ale kości ludzkie i zwierzęce rzucone, koni zmobilizowano, woły pobito na mięso, wieprze zamilkły w przeczuciu swej rzezi, psy podwinęły ogony, wyjąc nocami,—zostały tylko osły, jedyny materiał wojenny i szakale pewne zdobyczy i kruki węszące ścierwo. A cóż człowiek, autor swojej zguby?—niema czasu, zostało mu go tyle, by ucałować kobiety przeżegnać dzieci i utonąć w rozpętanym morzu chaosu. O sprawach niecierpiących zwłoki, o sensie życia i śmierci, o przyszłości problematycznej będzie czas pomyśleć, leżąc miesiącami

w błocie okopów, wisząc na zasiekach z kolczastych drutów, czekając na martwym polu na nosze sanitariuszów, ociekając krwią w przedpokoju kolejki do sali chirurgicznej. Do domu się wróci jako kadłub nieużyteczny, witany udanymi wesołymi okrzykami i przerażeniem w ukochanych oczach, albo się wróci jako urzędowy list okropny w swym lakonizmie, w swej dekoracji krzyżem i pochwałą w rozkazie dziennym.

Gardła wulkanu nie zatkać białą czy ponsową różą, wojną róż, ani pękiem odezów i dziesiątkiem pożyczek, co są zwykłym oszustwem, jak wszystko na wojnie. Potrzebne są coraz nowsze dywizje, transporty, pociągi amunicji, pociągi sanitarne, coraz więcej pociągów, coraz więcej pieniędzy, coraz więcej ludzi. Ale wulkan wciąż ziele ogniem i siarką, wciąż rzekami płynie lawa łez i krwi, szale ślepej bogini, co mają być miarą sprawiedliwości, wahają się na jedną i na drugą stronę, nie śpią woddzowie mało przytomni od wyolbrzymiałej trwogi, od bezsenności i targaniny nerwów. Drżą kancelarze od mocy władzy równej potędze śmierci, od łomotu spieszących się nóg i szczenia maszyn do pisania zawsze zełganych i ciągle radosnych komunikatów, od rozkazów rzucających na pewną śmierć tysiące ludzi, przeznaczonych do życia i choćby małej radości.

* * *

Dziś wojnę wygrywa tył narodu. Głową się walczy, łbem się rozbija mury fortec głupstwa, ale zwycięża tył. Rozkład idealny. Czoło armji, najszlachetniejsza część człowieka, broczy we krwi, zalane ma oczy i zmacony rozum, ale jeśli tył mocny i intensywnie pracuje, myśli lojalnie, nie jest wychudzony, ale pełny entuzjazmu, patryotyzmu i innych niejadalnych izmów,—wszystko dobrze. Może być głowa rozłupana, jeden korpus rozbity, drugi zagrzebany w norach dołów, okopów i kazamatów, ale jeśli Sitzfleisch siedzi mocno, pełne dobrej myśli, wtedy idą stąd do głowy prądy ożywcze, soki krzepiące. Sprawdza się poraż tysiączny, że nie głową się myśli i nie ona decyduje, nie ona zajmuje pierwsze miejsce w radzieństwie, konferencji i innych quasimysłowych organizacjach. Jest ona od parady, od aposteriorycznych twierdzeń, od hipnotyzowania tłumu wierzącego stale, że wszystkim rządzi rozum i sumienie,—ale decyduje o wszystkim, nawet o rozumie i sumieniu, o roli i losie ludzkości — tył i jego fotel. Im obszerniejszy zbiornik myśli,

im szerszy zakres wielkości, tem większy fotel. Choć głowa nie do rady, ale tył do fotelu. Nie trzeba głowy, gdzie jest fotel. A gdzie on się ustawi, choćby najniewygodniej i najmniejbezpieczniej, zawsze się znajdzie jego ozdoba i cel. Na radach, obradach, kiwaniu się i wróżbach z gąszczu od kawy decyduje postawa, figura, położenie, legowisko i—tył. I tradycja. Bowiem tył ma tradycyjnie odwiecznie zadawnioną, mocną i solidną pozycję. On reprezentuje, sankcjonuje, rezonuje, on jest bilateralnie odpowiedzialny, on ponosi winę i karę, na nim się wymierza odwet.

Powiedzenie: „zgoda, że Aleksander był wielkim, ale to nie racja łamać krzesła” — ma głębszą myśl, niż się wydaje. Za zwycięstwa i porażki Aleksandrów odpowiadają krzesła. Aleksander sobie przechodzi do historii z tym czy innym przydomkiem, ale krzesła niezreparowane trwają. Są bowiem zawsze całe garnitury krzeseł nowych i wciąż ponawianych. Dlatego bywa Napoleon i Aleksander, bo są krzesła, i od tego oni są, bo krzesła odpowiedzialne są za nich. Aleksander był wielkim nie z powodu swej niewielkiej głowy, lecz z racji wielkich projektów powstałych w głowie jego konia (mikrokefalos-Bukefalos). Napoleon dlatego był wielkim, bo naród był zamały naonczas,—ale krzesła niezależnie od stylu zawsze jednakowo mają siedzenia, jednakowo się łamią i jednakowo są duszone przez siedzenia, ale fotele są coraz większe, coraz bardziej nieodpowiadające położeniu i posturze siedzącego na nim. Po wojnie zazwyczaj, fotele są tanie i liche nie dlatego, że brakuje figur do siedzenia, ale że braknie pospolitych krzeseł, zawsze usługowych, odpowiedzialnych i bardziej odpowiednich w walce i kłótni. Krzesła się niszczą i łamią, ale walka ciągle trwa, trwają też fotele wsparte i powstałe w walce, trwa też zawsze tył jednakowo bez stylu, myśli i słowa.

Na szczęście nie zabraknie krzeseł, czy tam ław, jak nie zabraknie nigdy chęci do siedzenia. Naturalną pozycją człowieka siedzieć lub leżeć, czyn w ludzkich warunkach jest czemś wymuszonym, nienaturalnym, męczącym i wytrącającym z równowagi. By do niej wrócić trzeba spocząć i usiąść. Nieprawdą jest, że ze stali czynu powstało krzesło, bo ono było wprawdzie nim się zrodził czyn, jak przed stałą już było drzewo, jak przedtem było siedzenie, a potem się znalazło odpowiednie miejsce na nie,—prawdą natomiast, że fotel usposabia do snu, najmil-

szego zajęcia człowieka, że krzesła usłużnie się podsuwają każdemu, kto wart „spoczynku”, i że ten kto nie wart uprzejmości, siada gdzie może i najchętniej, jeśli może, na cudzem miejscu i na cudzą głowę. Tak oto wszyscy siedzą, za wyjątkiem tych, którzy muszą usługiwać siedzącym lub wojować o dobre miejsca, wszyscy myślą i radzą, gdzieby najlepiej i najsolidniej usiąść.

Towarzyska zabawa w zmianę krzeseł z racji niezadowolenia ze swego sąsiada urzeczywistnia się w wielkim stylu nieskończonych wędrówek, ekspansji, przemian i wojen. Po zajęciu w zamieszaniu pierwszego z brzegu miejsca, zawsze zostaje jeden, dla którego zabrakło krzesła; w tem sens zmiany i gwóźdź zabawy w niezadowolenie. Prawo *primi possidentis* i *occupantis* jest bezsprzeczne i takiemże jest prawo wyjęcia z pod prawa posiadania, chyba że ma ono za sobą powagę czynu i namaszczenie słowa: *ote toi de là, que je m'y mette*. Z tej racji oraz z powodu zabaw w nieprzyjaźń, a także i z gniewu przy zajmowaniu miejsc, przy ścieraniu się interesów, deptaniu nagniotków i obijaniu boków, miejsca wlot są rozchwytywane przez silniejszych, którzy jedni tylko mają rację żyć i siedzieć. Nie dla wszystkich są krzesła, nie każdy nawet chory ma na obiad choćby chorą kurę, dla wielu braknie nawet codziennego chleba, miejsca pod słońcem i promieni ciepła, tylko na wszystkich jednakowo pada deszcz, jednakowo pękają bańki iluzji na błocie życia i jednakowo na wszystkich czekają cierpienia i śmierć. Mały jest człowiek i jego pretensjonalny tył, a tyle miejsca zajmują w życiu i pod słońcem tak się panoszą i rozłażą, że słońce już dawno mierzi sobie ten widok, a życie zgięło się we dwoje pod ciężarem obrzydłości. Świat mówiąc z przesadą, jest dziwny, a bez przesady — szalony. Z zabawy wywoła sprawę serjo, z piasku skręci kańczug, z kurzu mrzonek i iluzji stworzy monumentalne konstrukcje absurdu, z zabawy powstaną wojny, z braku miejsca dla jednego ogólny popłoch i niezadowolenie, ze zmiany miejsca przez jednego ogólna peregrinacja do dołów strzeleckich i bratnich mogił, z wojny wywołanej przez poszczególny naród, któremu należałoby włożyć kaftan bezpieczeństwa i oblać wodą, rozpęta się wszechświatowej sławy wojna.

Tak czy owak, gdy czoła i korpusy walczą zapamiętałe, tył odpowiada, poci się, pracuje, trzeszczy. Hinterland wyłapuje szpiegów, żywi się kartkami, obietnicami i nadzieją, potępia defetystów, pochłania wieści, bije w dzwony tryumfu, i wciąż śle

na front, wciąż śle... ostatki, wyskrobki, zazdroszcząc psom ich życia i łakomie spoglądając na ich wychudzone boki.

Wilhelm przyrzekł, że będzie prowadził wojnę do ostatniego kota i psa, ale, jak każdy szanujący się władca, nie dotrzymał słowa, bo ostatni Kingczarl i belgijski małpopsiaczek wartości angielskiego stadnika i wielkości kłębka nici został zjedzony w trzecim roku wojny, a ona wciąż trwała aż do ostatniej wyschłej klepki w rozrzedzonych głowach.

Ojczyzna woła, ojczyzna chce! mamonizm żąda, dajmonion niezna litości. Mein Vaterland muss grösser sein! Twardooki Mars ma głos w każdym razie nie dla oszczędzenia mięsa ludzkiego. Olbrzym świata nie może się zatrzymać w pół drogi z powodu braku wołów i osłów i każdej rzeczy, która jest własnością człowieka, nikłą nicią wiążącą go z życiem, z codziennym trudem i cichym odpoczynkiem zachodu. Nadczłowiek nie ulęknie się swej pogardy dla życia, oczywiście cudzego, ani posłucha mądrej rady sensytywnego Zoratustry. Allzumenschliches mniej znaczy od jednego faktu zdobycia prawego brzegu jamy od pocisku ciężkiego kalibru, od opanowania na dzisiaj wzgórza 606, gdzie niema ani jednej całej dziury od wyrw i wykrotów. „Inni szatani, co są tam czynni“ nie przerażają się widoku piekła, ani sprawi im przykrość płacz matek, krzywda ziemi i skowyt bólu.

P. Bóg na wojnie.

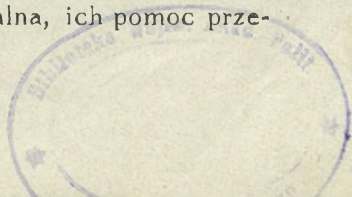
Powszechnie skazanie od 16 do 45 lat przeszło przez najwyższe instancje, pospolite ruszenie wyruszyło w pole, zostały tylko kobiety, dzieci i starzy, by żyć wojną i o niej myśleć, wstając po nocy bezsennej, by jeść tylko gorycz i zawód i pracować nad siły, żeby zdolni do pracy mogli nie pracować. Ale sztukmistrze śmierci i zdziczenia zdołali udowodnić, że zabójstwo też jest pracą, więcej, bo jest poświęceniem, bohaterstwem, czynem religijnym, najwyższą cnotą. Sam P. Bóg z zajęciem przygląda się perypetjom walki, wrogów też nienawidzi, a nam sprzyja. Idzie na czele każdej kompanji, niesiony bywa jak w procesji kościelnej na hełmach, na sztandarze. Jest naszym sojusznikiem, naszą sprawę popiera jak swoją własną. Nasza sprawa święta, a świętość wszak własnością Boga. Szkoda tylko, że tak niemrawo pomaga, inaczej jużby nie zostało ani kota ani psa nie-

przyjacielskiego. Zupełnie, jak Olimp gdy patrzy z góry na home-
ryckie zmagania się dwóch smoków, czy osłów, na historyczną
perspektywę jak *asinus asinum fricat*, lub smok smokowi nie tyl-
ko wykłuwa oczy, ale jeden drugiemu i drugi pierwszemu odgryza
głowę, że niema zwycięzcy i zwyciężonego, bo zostały tylko dwa
ogony. dwie resztki byłych wielkości, dwie muzealne pamiątki
historycznych dat. Zupełnie jak podług Iljady Jowisz przyglądał
się z zajęciem zapasom dwóch narodów i z ojcowską troskliwo-
ścią ochraniał swego syna w jego walce z Patroklem, ale nawet
jego, boga i ojca moc i troskliwość nie pomogły: syn boski zgi-
nął, bo ostrzem miecza Patrokla kierowało przeznaczenie sil-
niejsze i okrutniejsze od bogów i ludzi.

Lucrecjusz słusznie mówi, że trwoga wymyśliła bogów. Ale
nie wymyśliła miłości,—natomiast wymyśliła wojnę jako antydotum
strachu. Ile razy bóg nadzielony został cechami i przymiotami
człowieka, tyle razy stawał się jego sobowtorem. *Crocodilon* adorał
pars haec: illa pavet saturam serpentibus ibin (Ibis nażarty węża-
mi i adoracyjny krokodyl są bogami i sobowtórami człowieka).
Bogowie, jako twory ludzkie, żyją trwogą, wojną i nic ludzkiego nie
jest im obce. Najmniej są miłością i najwięcej zwadą i zdradą. Na
Olimpie i za kulisami rządów i dworów dzieją się skandaliczne
rzeczy. Tam też są partje, jak w porządnym sejmie i też się
biją jak parobcy. Wulkan i Apollo, Iuppiter i Neptun patronizu-
ją różnym obozom walczącym i djabła życzą adwersarzom (*Mul-
ciber in Troiam, pro Troia stabat Apollo*). Nawet kobiety, czyli
boginie, zazwyczaj i ze swej konstrukcji tkwiące poza kręgiem
szczęku oręża, za murami rozgorzałych namiętności (*extra flam-
mantia moenia mundi*) nie gardzą widokiem krwi, intrygują, fa-
woryzują, mają swoich ulubieńców i śmiertelnych wrogów, szpie-
gów i trucieli, słowem, babia wojna.

Bóg bez miłości jest bożyszczem, zbiór takich bogów staje
się z czasem panteonem umarłych i ariston metron, najlepszym
środkiem lokomocji do Hadesu. Człowiek bez miłości jest bał-
wanem, państwo—Dagonem o glinianych nogach i złotej głowie,
kobieta bez tliwości i cichości jest potworem, choćby była bo-
ginią lub inną *donna angelicata*.

Stara i najnowsza historia tkwi na tej samej szpilce oma-
mień. Najprawomocniejszym pozorom słuszności i świętości;
braknie siły i racji boskiej interwencji, dlatego na wojnie mało
się dowierza bogom, ich sankcja raczej moralna, ich pomoc prze-



znaczona dla wdów i sierot. Pomagają oni zazwyczaj silnym, nawet słabszego syna zostawiają na polu bitwy. Miej ufność w Bogu, ale odlewaj armaty. I chociaż istnieje popularne, nikczemne i isticie po ludzku trywjalne przysłowie: „kiedy P. Bóg dopuści, to i z kija wypuści“, ale na wojnie to się kije chowa, a trzeba brać się do czołgów. Jeszcze Goljat zrobił uwagę Dawidowi, że nie jest psem, kiedy ten wyszedł do niego z kijem i procą. Boski młyn miele powoli, ale mąka z niego biała—mówią młynarze, których ręce jeszcze są we krwi. Tank w Imię boże czołga się powoli, ale już trawa tam nie rośnie. Gdzie przeszła awangarda wojny, tam nie tylko młynów i mąki, ale nawet kościołów nie zostało. Ale tank się żegna, idąc do ataku, pokój jest błogosławiony, kiedy się szykuje do wojny, bo czas, w którym się nie idzie do ataku, nie wczołga się pod namioty wroga, nie gotuje się skrycie do wojny, jest stracony. Takim czasem Bóg nie błogosławi.

Krzyżem św. znaczona są wszystkie atrybuty wojny. Odważni i mężni odznaczeni są krzyżem, by odróżnić ich od reszty chrześcijan, co nie mają odwagi lub sposobności do zabijania. Płaszcz rycerskie znały się dawniej krzyżami, rękojeście mieczów miały nieraz formę krzyża, na sztandarze buja krzyż, na frontonie gmachu tyranji wypisany cytat z Pisma św. Część sanitarna ma za godło krzyż czerwony, dobroczynna—biały, samoloty czarne, trujące gazy „forger” i „lost”—żółty i niebieski, każdy nowowynaleziony gaz też się oznacza krzyżem innego koloru; gdy się kolory wyczerpią i cierpliwość Ukrzyżowanego, wtedy wejdą w użycie krzyże łotrów, i tak nigdy się nie wyczerpie aparatura wojny i zesłane nam rzekome błogosławieństwo, piynące z nadużycia świętego godła.

Modlą się ludkowie, leżąc krzyżem, błagają kornie o zwycięstwo, o najgorsze dla wroga, a w najlepszym razie o upamiętanie, nie swoje oczywista, lecz wroga, by przestał nas zabijać i dał się zarznąć ku chwale Bożej. Wszak Jego majestatowi bardzo powinno na tem zależeć, by jaknajwięcej poległo wroga, a nie na tem, by nie było wojny, lub czempredziej zawarto pokój. P. Bóg na wojnie traci swą zwykłą równowagę i cierpliwość, bo też ma przeciw sobie wrogów, naszych wrogów, jest rozrywany na wszystkie strony modłami, pretensjami, wyrzutami i zarzutami z różnych obozów walczących i już nie wie, gdzie prawda i gdzie sprawiedliwość.

Ludu mój, cożeś uczynił z Bogiem swoim! Twój antropomorfizm zaszedł cokolwiek zadaleko. Nadzieliłeś Go swymi furjacyjnymi przymiotami i już przestałeś odróżniać Boga od Marsa. Nie rozumiesz i nie zrozumiesz nigdy, że prowadzisz wojny sam i na własną odpowiedzialność, bez Boga, bez sumienia i bez odpowiedzialności, że Bóg nie chce i *nie może* ci pomóc, nie może mimo całej swej wszechmocy, jak nie może ciebie nawrócić, byś przestał nienawidzić i zaczął słuchać Jego głosu.

U ludzi najwyższem i ostatecznem prawem śmiertelna walka z wrogami, z najgorszymi ludźmi, których tępić nakazuje prawo natury i prawo Boga. Bo w takim razie jakaż różnica między dobrem i złem, w takim razie trzeba je jednakowo tolerować i kochać. Tylko oni, najgorsi wśród najgorszych mogą i powinni być obiektami pogardy i nienawiści, oni tylko mogą się poważyć na świętość naszego życia, na całość naszego mienia. Gdyby nie oni, ci najgorsi wśród narodu, wyrzutki ziemi i pomiot djabełski, możnaby żyć, możnaby dojść do porozumienia, ale z tymi krzywdzicielami ludzi i bluźniercami Bogu, których On nienawidzi, bo gdyby kochał, lub co gorsza pomagał, nie byłby Bogiem, nie byłoby wogóle Boga...

Ach, Panie, daj siłę ramionom naszym, celność armatom, wytrzymałość tankom, niewidzialność samolotom, rozlewność i wszechobecność gazom, nadaj im cechy podobne do Twojej miłości świętej! W imię tej miłości, którą miłujesz nas, niech wróg wylegnie, jak trawa dotknięta kosą Twej sprawiedliwości, niech ich żony i ziemie staną się bezpłodne, niech dzieci ich pójdą na żebrzy, a córki na pohańbienie! Niech kule ich i pociski idą na trawę, jak baranki, a nasze jak tygrysy niech wyszarpią z nich serce i krew, i niech nareszcie poślepnie i przestanie nam szkodzić wraża przezorność i złość. Dusza nasza ta sama z przed tysiący lat, jednakowo nienawidzi wroga i jednakowo mu nie przebaczy, — tak i Ty nie przebacz niezhównym, ale ich ukarż tak, by przestali nam szkodzić, i nie przeszkadzaj nam łaskawie, kiedy ich będziemy unieszkodliwiać na teraz, na zawsze i na wieki wieków. Amen.

Małpocząłowiek.

Popularność wojny bezsprzeczna. Gdyby nie to, nie byłoby wojny. W samej naturze leży walka, człowiek urodził się w walce, w niej też umrze, od niej zginie lub zgubi swe zdobycze. Świerzbą go ręce, grzbiet się pręży do skoku, oczy lśnią złowrogo, kły zgrzytają, pazury się dłużą, przekleństwa lecą z paszczy wraz z pianą wścieklizny. Pod tym względem człowiek ma tak wiele podobieństwa do szympansa. *Simia quam similis, turpissima bestia, nobis* (Cicero). Jest małpą ciężką i okrutną, chociażby był profesorem filozofji, prezeską od emancypacji, baletnicą, modną lalą lub dygnitarzem obwieszonym świecidłami. *Simia est, etiamsi aurea gestet insignia*. Insigniami człowieka jego małpoczynny, jego złotem krew na pazurach, jego filozofja usprawiedliwienie małpopochodzenia, jego kobiety samiczki i małpy. Gdyby małpa miała przewrotność człowieka, jego rozum i wykręt, to ogłosiłaby mu wojnę za zniwagę porównania siebie do niego. Kto wie, czyja w porównaniu wzajemnem przewaga, i kto ma rację? Człowiek stanowczo ma za długie ręce, dłuższe od małpich. Jego kończyny przebiegają chyżej, zgarniają szybciej, zadają ciosy prędsze od gromu, dwoją się, ustokrotniają, jak Bryrareusz sturęki, patron walki. Człowiek ma tylko dwoje rąk, ale w każdej rewolwer, ma spróchniałe zęby, ale uzbrojenie do zębów, gdyby miał on sto rąk i kły jak rekin, użyłby ich w tym samym celu. Zresztą, na wojnie, zwłaszcza dzisiejszej, ręce odegrywają tylko pomocniczą i trzeciorzędna rolę, tam działa rozum żelaza i duch prochu. Reszty dokona natura protoplastorum, szalona długoręka małpa, o białkach oczu aż czarnych od chuci, od żądzy krwi, o wąskim i ściętym łbie i mocno rozwiniętych szczękach uporu i żarłoczności.

I nie tylko na wojnie, ale i w codziennym trudzie, w odpoczynku, rozrywkach, we wzajemnych stosunkach do siebie, do kobiety i kobiety do mężczyzny, w swym postępie, wierzeniach, przekonaniach, myślach i czynach człowiek masowy jest małpą co do szablonu ruchów i myśli, przewrotności czynów i nudnej

bezbarwności swego życia. Doprawdy szympanś okazuje więcej szacunku i miłości swojej małżonce, lepiej ochrania rodzinę, okazuje szczerzą pogardę złości ludzkiej i ich złym instytucjom. Życ jak człowiek—chlubą człowieka, ale małpa miałaby sobie za hańbę, gdyby została człowiekiem. Ten zaś odwrotnie.

Darwin się mylił: — nie człowiek pochodzi od małpy, ale małpa od człowieka. Małpa zwyrodnieniem człowieka, postępuje ono szybciej niż ewolucja. Darwin miałby rację, gdyby nie on sam i tysiące świeczników ludzkości, którzy stwierdzają tylko mocniej stopień odczłowiecznienia człowieka, którzy są siłomierzem jego strasznego upadku.

Oto popularność wojny. Pochodzi jedna i druga od populus, motłoch, ciżba, tłuka. Doskonała i charakterystyczna nazwa — tłuka. Istnieje poto, by tłuc i być tłuczoną, być tłuczkiem w kuchennym moździerzu opinjowania i tłukiem nabojów moździerza i dubeltówki. Ciżba nie rozumuje tylko słucha. Każą bić, bije, każą otrzymywać razy — bierze, każą umierać—umiera. Kiedy zaczyna rozumować i nie chce słuchać, wtedy się tłucze między sobą i wtedy jest najgorzej dla niej i dla rozkazodawców. Istnieje poto, by popularyzować, czyli szerzyć pomiędzy sobą i propagować idee nakazane i myśli wylęgte w cudzym mózgu, w sumieniu rozkazodawcy, w rachunku pracodawcy.

Tłuka lubi hasła ogniste i efektowne, lubi fanfary, wodza na koniu arabskim lub innym, ale koniecznie historycznym, lubi króla, by miały komu grać surmy zbrojne, gdy idzie na wojnę i poetyzuje Jasia, któremu wtedy grają skowroneczki. Właściwie mówiąc, musi być król, najraźniej z królem. Jest komu służyć, kogo słuchać, komu życie poświęcać, dla kogo się rozstać z Kasią. Jest gospodarzem i głową, choćby był bez głowy. Mając prezydenta, tęskni za królem, mając króla, spoziera z zazdrością na innych.

Ulubionym motywem i tańcem wojennym motłochu: in tyrannos! To się rozumie. Ktoś musi być tyranem, i ktoś musi tyrana zgnać. Tłuka narzędziem w rękach, które sięgną po tyrana. Jest nim każdy niedogodny, a leżący na drodze do wiadomych celów. Trzeba albo przejść nad nim, albo go sprzątnąć. Panna Corday usunęła jednego, by inny się znalazł na jego miejsce, ale zawsze pozostanie bohaterką tłuki, dopóki istnieje tyran. Ale ten kto sprzątnie samą tłukę, największego tyrana

dla siebie i dla świata, ten będzie naprawdę bohaterem, godnym najpiękniejszego pomnika na najpiękniejszym placu największego Poneropolis.

P r o c h .

Zadaniem i pracą tłuki mieszać. Miesza tedy ona wszystko dobro ze złem, zło z jeszcze gorszem, złoto z błotem, etykę z estetyką, religję z naturą, ducha z materją, ciało z ziemią; tłucze brylanty w mózdzierzu, topi uczciwość, tępi talenty, zalewa ołowiem gardło prawdy. Miesza nie napróżno i tłucze nie nadarmo, bo pewnego poranku z tej mieszaniny, z mózdzierza i retorty wybuchł proch, epokowe odkrycie w dziejach wojny, vita nuova i śmierć w nowej edycji. Odtąd powstała nowa era, dzień radosny, dzień zbawienia. Bez prochu nie można sobie wyobrazić życia. Ono samo stało się prochem, przesiąkło jego dymem, ogłuchło od huku i wybuchów. Odtąd żywot tłuki stał się usprawiedliwionym, niezbędnym, opatrnościowym. Nikt jej nie usunie, jak nikt nie zapomni o substancjach, z jakich się składa proch. Te elementy są elementami tłuki. Bez węgla niema przemysłu, ale niema też prochu, a bez prochu, bez wojny niema też przemysłu. Siarką przesiąkły nasze dni, nią zieją potępieńcze swary, z niej pochodzi w prostej linii piekiełko w starej i wciąż ponawianej formie. Saletrę kopie i fabrykuje uprzywilejowany trust, chartered company, której głównym dyrektorem sam wielkorządca z piekieł, a akcjonariuszami najwybitniejsze gwiazdy kapitału. Nie zbankrutują nigdy.

Tylko na kobietę nie spadł ani jeden z promieni aureoli wynalazców prochu i jego entuzjastycznych praktykantów. Gdyby kobieta była nawet potworem fizycznym i moralnym, ale już to jedno, że wiekopomny wynalazek wrzuciłaby do rysztołka, a nie dopuściłaby do wojen i w każdym razie nie prowadziłaby ich z taką zażartością, czyni z niej niebiankę i raję mieszkankę czy mieszczankę, jak chce Mickiewicz. Ale jest potworem, kiedy się jawi jako femina bellicoza, furja i harpja, meduza i eumenida, Atena w złocistym hełmie i Germanja w pełnym rysztołku zbójnictwa.

Człowiek powstał z prochu, nic innego nie wymyślił, jak tylko proch. Wtedy powiedział prostopadle, że nie on powstał z prochu, lecz proch z niego. Nie przyznał on wierzący w ewo-

lucję, że proch proch rodzi, lecz uczynił proch dziełem myśli, która trwa, bo jest „wszechpotężna”. Prochom nadał te samą wszechpotężną własność, proch stał się myślą powstałą z zapoznania destrukcyjnych i upokarzających własności prochu. Nawet tam, gdzie ustaje myśl, żyje i działa proch. Żyje ze zniszczenia i dla niego działa, „aby się nie miał chlubić człowiek z gliny”. Działo i dzieło ludzkie żyje z prochu, ale tak żyjąc, w proch się obróci.

Dwa są fakty oczywiste, którym nie próbowano zaprzeczyć, zaprzeczając jeszcze oczywistszym rzeczom, to powstanie wszystkiego z prochu i reinkarnacja w proch. Ex nihilo nihil, ale z prochu tylko powstanie proch; może on być chwilowo czemś więcej, czasem bardzo wielkiem by się ponownie zwrócić do swego prapoczątku, prairu istnienia. Będąc więcej niż materją, człowiek wymyślił proch jako postulat fizyczny i metafizyczną formułę swego wiecznego trwania tutaj na ziemi, która jest prochem fizycznie i metafizycznie. Gdyby nie fizyczne prawo przyciągania prochów do siebie wzajemnie i obracania wszystkiego w proch i nicość, czego się dotknie proch, co jest dziełem jego rąk i funkcją jego myśli, proch byłby bogiem. Ale i pomimo oczywistości, którą proch-człowiek niechętnie widzi i łatwo zapomina, jest on dla siebie samoadoracyjnym bogiem... prochu.

P. Bóg powiedział — fiat lux, i stało się światło; szatan powiedział — fiat nox i stała się noc, ale nie na jego rozkaz, bo on sam stał się nocą na rozkaz wyższy, a jego serdeczne życzenie, by ciemności obległy ziemię, sprawdziły się tylko częściowo. Człowiek powiedział — fiat pulvis! zupełnie niedorzecznie, bo na słowo jego nic się nie stało i nie stanie, czego już nie było z innej woli i innego słowa. On może tylko źle użyć swoich możliwości, nadużyć powierzonych sobie skarbów i grubo zakpić z natury, ze stworzeń i z siebie. Śmieje się on i natrzęsa również ze swego Stwórcy, nie z takiego jakim jest, ale jakim Go wyobraża człowiek, jak Go zeszpecił szkarłatną szatą przelanej krwi i białą szatą szaleństwa i trądu.

Wie ist der Mensch,
So ist sein Gott,
Darum ward Gott
So oft zum Spott (Goethe)

Bóg nie jest takim, jakim człowiek, ani jak Go on wyobraża, ale Bóg stał się człowiekiem, i wtedy człowiek zechciał w Nim

widzieć siebie, podobieństwo swej krwiożerczej i zdrażliwej duszy, kiedy tego nie zobaczył, wyrzekł się wogóle widoku Boga, wyśmiał najczystszy obraz, zatarł w sobie wszelki ślad obcowania ze Świętym świętych. Zabił Go nawet, wypowiedziawszy Mu przedtem wojnę podług zasad dyplomatyczno prawnych. Zabił swego brata, morduje innych masowo i detalicznie, dla czegożby miał żałować krwi swego Boga? Zabił Go też podług zasad wyrafinowanego morderstwa, przekupstwa i zdrady z całym aparatem intryg, podejścia i planowej zasadzki z pozorami sądu, z inscenizacją prawdy opartej na przekupionych świadkach i wiadomym zgóry wyroku, z udziałem solistów i chóru naszczutej tłuki i rozjuszonego motłochu. Jak to na wojnie.

Człowiek wypowiedział Bogu wojnę, i pozornie ją wygrał, zawsze ją wygryga, bo każda wojna oparta jest na pozorach, niemi żyje, niemi zwycięża, tylko skutki tego są nad wyraz realne i ponad oczekiwanie straszne. Wojna z Bogiem niema nawet natychmiastowych skutków, bo każdy cięższy skutek i okropniejszy wynik muszą czekać na siebie, dojrzewając i narastając. Dlatego człowiekowi się zdaje, że wygrał, że Bóg umarł, niema Go i nie będzie. Zdaje mu się, że Chrystusowi nie udało się, kościołowi się nie udało, człowiekowi tylko się udało... zdradzić i zabić swego Boga.

Chrystusa Pana nie przyjęła i zabiła mieszczańska filozofja życia, wypowiadająca wojny sprawiedliwie, mordująca honorowo, z sądem, ze sztabem, przy świadkach, w biały dzień, pod okiem Boga. Zabiłaby Go też dziś, jak dziś i zawsze kamieniuje proroków, nie uznaje genjuszów, prześladuje słabych i biednych, kpi z nieporadnych, nieudatnych, pechowych, upadłych i grzesznych. Ona to głównie nie rozumie i nie przyjmuje nauki Chrystusa, szanuje tylko Jego dokonany i powszechnie uznany blask sławy, a z zabójstwa rozgrzeszyła siebie dawno. Wykpiłaby genjusz Napoleona, gdyby został tylko kapitanem artylerji, ale szła za nim w ogień, kiedy był cesarzem. Wyrzekła się go, kiedy był na wygnaniu, zapomniałaby o nim, gdyby nie umarł. Filistra czaruje tajemniczość religji, ale wnet z niej robi zabobon, spirytyzm, magję i wróżbiarstwo. Zbyt jest pyszny, by mógł być pokornym, zbyt wyniosły, by się zniżyć, zbyt ciasny, by zapragnął mądrości, zbyt materialny, by cenił i pragnął religji. Zna się na wojnie, prowadzi ją ze smakiem i znawstwem. Lubi prócz tego narkotyk, sentyment, chuć i paradną formę. To

rozumie, w tem jego jestestwo, tu się urodził, tu się każe pogrzebać. Requiescat. Chrystus będzie mu zawsze duchowo obcy; wiarę zmieni na swoją własną o zakresie doświadczalnym, naturalną, bez sakramentów, wiarę łatwą, dostępną i mile rozwiązującą najzawilsze zagadnienia.

Chrystus przyjął wezwanie na wojnę. Przygotowywał się oryginalnie, bo poszcząc przez 40 dni, modląc w przeddzień całą noc. Ogarnął Go strach wobec zbiorowej solidarnie wyrafinowanej zbrodni, strach przed ciałem, które miłośnie przyjmował na siebie, wobec duszy, którą stworzył na swoje podobieństwo, strach o człowieka, o całość jego ciała i wieczne życie duszy. Stanął bezbronny przed tłustym bykiem szału zemsty i pragnienia krwi Tego, który nie pożałował, że stworzył człowieka, że nie zniszczył tworu i nie zamienił go na lepszy, nie zawstydził się brutalstwa ciała, ani przejęło Go dreszczem wstrętu zetknięcie się z jego duszą. Tylko krwawy pot przedśmiertelnego strachu okrył Jego ciało, kiedy w wizji proroczej stanęły przed Jego oczami wielogłowa podłość człowieka, bezlik jego zbrodni, miliony, krocie, setki i tysiące milionów pomordowanych, umęczonych, przybitych do krzyżów wszystkimi sposobami tortury, pociętych ostrem narzędziem zemsty, rozprutych podług zasad rzeźnictwa, zamrożonych najnowszym sposobem chłodni.

Chrystus przyjął wojnę i przegrał ją z kretesem, nie próbując ani uciekać, ani bronić się. Pierwszego już dnia leżał związany, drugiego dnia już nie żył. Dał się pojmać, prowadzić na sznurze jak do rzeźni, pozwolił się zdradzić, pocałować, związać, oplwać, zbić w krwawy postaw, któremu już wolno tylko konać. Nawet najbliżsi zwątpili, rozbiegli się lub leżeli w prochu lęku i bólu. Stała tylko Matka. Ta, której serce większe niż złość ludzka, a męstwo silniejsze od strachu, bólu i miecza, choćby siedmiu mieczów... Krwawa piana rozpiętanych żywiołów chlustała na wysokość krzyża, ryk się wznosił pod obłoki: stała tylko Matka, nie upadła jak ścięte bólem drzewo, stał mąż boleści, niemocny, by się utrzymał, przybity, by nie runął.

Wojna bliska zwycięstwa. Wygrana. Dokonało się. Gdybyż choć zeszedł z krzyża, możeby się dało odrobić, gdyby choć dał jaki znak, którego tak pragnie ciekawa i wiecznie głodna cudów tłuszcza, zabobonna i gotowa zawsze zdradzić słabszego, gotowa zawsze rozszarpać uderzonego przez jednego tylko z napadających. Ale nic się nie stało. Odkonano jak na wojnie, która

nie zna cudów, a zna tylko śmierć, Chrystus nie zstępuje z krzyża. Dobroczyńca umiera śmiercią złoczyńcy, umiera jak wszystko na świecie. Nagi, opuszczony, napół siedzący na drzewie, wdrażonym w pień krzyżowy, by nie upadł, rozdarłszy sobie dłonie, może przywiązany przezpół powrozem, umiera ze wszystkimi objawami konania, tak odmiennego od konwencyonalnych malowideł i ładnych rzeźb, by nie raziły oczu przeciętności, która patrząc na cudze konanie, lub sama konając, nie przestaje być sobą. Sama natura wydała oczekiwany znak, który nikogo nie przekonał, prócz paru pogan. Ale Chrystus znaku nie dał, cudu nie stworzył, z krzyża nie zeszedł. Ani Eljasz, ani legiony anielskie nie przyszły, twarz nie rozbłysła jako słońce, nagości nie przykrył promień bielszy ponad śnieg. Szare oblicze, jak dola tułacza, bólem ścięte, usychające jak trawa, wydało ostatni głos, ostatnie westchnienie ludzkie. Umarł jak jego towarzysze, adiutanci króla, gwardja przyboczna. Umarł jak umierają na wojnie, po szpitalach, ciężko ranni, wyczerpani, od upustu krwi, od połamania i opuszczenia, od urągowiska życia, od doli sieroczej, która połączyła i uzależniła człowieka od człowieka dla łatwiejszego mordowania się. I po wszystkim. I to już koniec. Człowiek zwyciężył. Bóg umarł. Człowiek żyje i chce żyć wiecznie. Jest panem i bogiem, stwórcą nocy i wynalazcą prochu.

*

*

*

Szatan i człowiek są uzurpatorami tego, co nie sami stworzyli, ale co jest dziełem ich ducha. Stworzył Bóg noc i proch, jako fizyczną różnorodność i składnik piękna. Człowiek i szatan przywłaszczyli sobie stworzenie, zechcieli być jego stwórcami, i odtąd nocą stało się życie obojga, a proch smutnem dziedzictwem i pokarmem ludzkości. Okropny wynalazca rzeczy wynalezionych, odkrywca ich infernalnych mocy i zabójczych walorów, sam był odkryty przez szatana, który się bardziej z tego ucieszył, niż człowiek, wynalazłszy proch.

Prosta ciekawość ciebie człeku, posiedzieliu nocy, władco mroku i dziedzicu robaków, przywiodła do posiadania okropnych tajemnic, wylęgłych z nocy, przeciwstawienia światła i wieczności, któremiś wzgardził, których nadużyłeś. Pycha wtrąciła twego patrona ze światła w wieczną noc, ciekawość zmieszana z pychą przywiodła cię do posiadania prochu. Jak ów dziad bajeczny

dopóty garnąłeś złoto, aż wor pękł, wysypało się złoto i została garść prochu. Zmieszałeś złoto z prochem, z mozołem przemysłać będziesz z ziemi okrucy złota, by za nie nabyć też proch. Od tej roboty i mordęgi pełno kurzu i wrzawy, za pyłem nie widać złota, proch grubą warstwą pokrył sprawy ludzkie, napełnił dusze, usta i oczy, że w nim żyjemy, dusimy się i z tego umieramy. Toniemy w masie sypkiego prochu, zboża czy złota, co jednakowo są prochem i jednakowo zalewają usta, jak woda. Człowiek umiera dlatego, że mieszał nic z niczem, wodę z wodą, złoto z prochem i proch ze zbożem, co żywiły go poto, by umarł. Co się raz zmieszało, już się nie oddzieli, co raz się urodził, umrze, co raz umarło, przestaje żyć, obraca się w proch.

Misce, fiat pulvis! Mieszaj! może to, co powstało z mieszaniny, skłócenia, ścierania, odproszy się, może życie odży, może śmierć przestanie być sobą. P. Bóg niczego nie mieszał: rzekł i stało się. Człowiek poczał mieszać sprawy i słowa boże ze swemi, pomieszał kategoryczne nakazy ze swoją dowolnością, zuchwalstwo z tchórzostwem, ciekawość z buntem i oto powstał proch, z którego sam powstał, choć nie miał być prochem i nie byłby nim nigdy, gdyby nie wynalazł sprzeciwu i buntu, nie odkrył prochu i morderstwa. Misce stultitiam consiliis brevem (Horac). Może z tej mieszaniny wyjdzie mądrość.

Proch lubią wszyscy od najmłodszych lat istnienia prochu i ludzkości. Zaczęła ona używalność rozumu od eksperymentów z prochem. Dzieci lubią proch więcej niż słodycze. Jest on we krwi, a krew w prochu. Żyje w nim, pulsuje, pieni się, przelewa się i wybucha krew człowieka, której zaledwo wystarczy mu na najpierwsze potrzeby życia. Przelewać ją jak skisły kwas, godne nieobliczalnego marnotrawcy i szaleńca spalającego swą świeczkę z obu końców. Anemiczny i niedokrwisty bierze na wzmocnienie żelazo z arszenikiem, oręż i truciznę. Leczy się, by utracić zdrowie, wyzdrowieje, ale będzie powieszony. Zaczyna praktykować na zwierzynie, a skończy na sobie.

Gdyby nie mieszał, żałowałby tego poniewczasie. Si non misces, ingemisces. Płacze i zgrzyta ów niemieszający, stojący na uboczu od mieszań i odznaczeń za mieszaną sieczkę z niczem, mleka z wodą, męstwa z wojną: zmieszają go z błotem, nabiją w butelkę, rozsadzają jak zaszpunktowane fermenty w beczce, jak kociel, w którym zabrakło bezpiecznego odpływu niebezpie-

czeństwa. Takie jest bowiem prawo mieszania spraw i wmieszania się w cudze sprawy.

Ale smutny też los wynalazcy, zapoznane jego zdolności, nieużyteczny szmeln wysiłków jego woli, wypocin myśli. Co się stało, nie odstanie. Wynalezione nie przestanie istnieć. Istniejące nie przestanie umierać, leżące w prochu drogi bolesnej, nie poddźwignie się choćby siłą tysięcy parowych koni, jaką posiada proch. Słaby stworzył moc, ale moc uczyniła go jeszcze słabszym. Wrócił tam, skąd wyszedł, a nie znalazł mocy, wrócił do prochów, skąd powstał, a postradał wolę ku mocy. Wrócił biedny, uboższy o jedną iluzję siły i bogatszy w jedno doświadczenie, że doświadczenia nad prochem rujnują doszczętnie, że jego wybuchy kaleczą i zabijają. Ale by korzystać z doświadczeń, trzeba być mądrym, a wynalazca prochu z chwilą jego pierwszej eksplozji postradał rozum z radości i odtąd chodzi nie cichy mańjak, lecz furjatyczny obłąkaniec, szalony swą śmiercionośną ideą, zafiksowaną w zwojach chorego mózgu, opętana idée-méree swego życia i doli zgotowanej i gotującej się dla całej ludzkości. Szalenca uleczy tylko zapomnienie o swej mańjakalnej chemji niszczenia, o swym wynalazku zwichniętego i kiepskiego warjata. Jeśli to nie nastąpi, a widać że nie, to uleczy go sam wynalazek, proch gromodzierzca, Zeus olimpijski, rozkazodawca z głównej kwatery zgubnych myśli i szalonych projektów. Ale wtedy będzie zapóźno dla człowieka, i nigdy nie zapóźno dla jego wrogów i zabójców. Wypiszą oni epitafjum nad pogrzebanem a wiecznie żyjącem głupstwem, wyleją oni z pogardą i radością spóźniony żal, groźne memento i niewyplakane łzy nad niepamięcią rzeczy jedynie wartych zapamiętania: pamiętaj o skutkach doświadczeń i zapomnij doświadczać swojej wytrzymałości, zasięgu prochu i cierpliwości Boga.

O koniu i jego roli na wojnie i w życiu po wojnie.

Sztuka też nie zostaje w tyle co do błogosławieństw wojnie, będąc jej protektorką i mecenasem. Od czasów homerycznych: „Andra moi ennepe, Musa, polutropon“.. od czasów Wergilego: „Arma virumque cano“... podziś dzień sławią muzy pod dźwięk skandru i liry, pod szept zachwytu i poetyckich marzeń dziki najazd bandytów, odwiecznych handlarzy gąbkami i kulturą, poezją i muzyką, bogami i honorem, zdradziecki napad na spokojny,

miły naród sławnego Priama, opiewają jego pohańbienie, śmierć syna i upadek narodu. Odtąd marzą na jawie od lat szkolnych wszyscy drapieżcy: Es wird sein ein Tag, da die heilige Troia wird fallen... Przyjdzie niegdyś ów dzień...

Z biegiem czasu z samotnej liry wędrowca urosła poważna orkiestra zapłaty i rewanzu, której pierwszymi skrzypcami są wertepy międzynarodowych knowań, generałbasem — sztab generalny, fagotem i saksofonem żalosny bek krzywdy i dancingu, a fletnią kość niezgody, piszczel nimfy, beztroskiej wesołości i ufego szczęścia dziewczęcia. Wszak wielki Fryderyk, jak drugi Sylen, grał na flecie z kości rozszarpanej Polski, przy oklaskach i zachwytach, jak na obrazie w galerji berlińskiej.

Poezja wysnuwa piękno tylko na kanwie bohaterstwa i poświęcenia, — ale niema bohatera na wojnie, która niema w sobie nic z piękna i ani szczypty wzniosłości. Jest on przed wojną i po wojnie i naturalnie na tyłach armji. Malarstwo też apoteozuje zniszczenie, i niema nic bardziej fałszywego i banalnego, jak obraz batalistyczny. Gdyby nie było konia, obraz przedstawiałby „martwą naturę“. Koń tam ruchem, rozmachem i pierwszą osobą, a ostatnią śmierć. Niema grozy, a tylko koń. Podobnie się dzieje z każdym „końskim“ pomnikiem.

Koń jest ładniejszym od człowieka, ma od niego więcej życia i wyrazu. Mowa tu o dobrym koniu i złym człowieku. Żaden Antinous nie zrówna się z końskim Apollinem. Nic dziwnego, że za koniem przepada człowiek, zazwyczaj pogardzający człowiekiem, i nie żał mu spaść z konia byle dobrego, a żał mu podać rękę człowiekowi stratowanemu kopytami losu. Człowiek ma ograniczoną cenę u ludzi, u Boga człowiek jest bezcenny. Mówią, że Judasz nie był żydem, ponieważ sprzedał swego Boga za tak małą cenę, ale był człowiekiem, szacującym drugiego człowieka zazwyczaj o wiele niżej od jego rzeczywistej ceny i nigdy niedoceniającym wielkości odkupienia. Człowiek kupuje konia, przedmiot, nawet żonę, ale wydaje mu się bezcelowem i zbędnem kupno lub wykupno człowieka, jego serca, umysłu i duszy. Co innego koń. Tego można pokochać za jego milczenie, wierność, przywiązanie i odwagę, za to właśnie, czego braknie człowiekowi, który wiele traci w porównaniu z koniem. Człowieka rzeczywiście bezcennego oszacowują dopiero po śmierci, po zdjęciu żywca skóry, kiedy koń zawsze ma pełną cenę rynkową lub amatorską i po śmierci jeszcze zachowuje swą war-

tość skóry. Los jest sprawiedliwszy względem konia, waloryzacja jego ściślejsza i sumienniejsza.

Ludzi pięknych tak niewiele, i nawet ci dla wielu są brzydkimi. Opinie o pięknie wśród różnych narodów są przytaczane w pismach humorystycznych. Wiele jest ras i narodów, ale tylko na swoim podwórku i dla swoich piękni są pięknymi, a i tych niewiele i ci z zastrzeżeniem. Dla białego murzyn cuchnie i odwrótnie. Azjaci są podobni do siebie, biały nie rozróżnia Chińczyków, a dla żółtych Europejczycy są jednakowo nudni. Końskich ras o wiele więcej, a każdy koń pełnej krwi jest piękniejszy od obrazka i panny. W końskim Apollinie można się zakochać, on jest przedmiotem sztuki, jego się więcej ochrania i zabezpiecza niż własne dzieci. Koń stanowi trzy czwarte bohatera, uosabiającego nieraz brzydką ideę, siedzącą na ładnym koniu. Koń na pomniku Colleoni'ego, Aleksandra III, Garibaldiego, Mikołaja I i t. d. przytacza swą pięknością i mocą pompatyczne i marnie dwuznaczne figurki ludzkie: każdy władca przedstawia się konno. Inaczej nie widzieliśmy Napoleona jak na białym arabie. Mańjak, nawet śpiąc, ma pod poduszką swego konia, jak dziecko. Największy człowiek ma w sobie coś z konia i dziecka. Sułtan wjeżdżający konno do kościoła św. Zofji wyobraża tryumfującego wojownika. Zwycięzony idzie pieszo za rydwanem zwycięzcy, zaprzężonym w szóstkę takich koni, jakich nawet niema w rzeczywistości. Ten kto zwycięża, jedzie. Jedzie nawet fortuna i Helios, nawet bieda i nieszczęście. Idzie tylko czas, choroba i śmierć, ale to z powodu swego znanego skąpstwa i brzydoty. Ładnieby wyglądała którakolwiek z nich na dobrym koniu. Wojna szuka zwycięstwa i dlatego zawczasu jedzie i trąbi, zawczasu pełno na wojnie koni do rozbijania, ścigania rozbitego i do ucieczki. Im więcej koni tem pewniejsze zwycięstwo, i łatwiejsza ucieczka, im więcej ludzi tem większa potrzeba koni.

Nie dla piękności i inteligencji cenią konia na wojnie, ale że jest najgłupszym ze stworzeń. Sama natura, skąpa zazwyczaj, pilnuje tego porządku, by okazałe i piękne było też głupie, by nie kłaść pary grzybów do garnka. Koń przeleknie się wrony i poniesie siebie i jeźdźca, ale nie zleknie się człowieka i jego arcydzieł: wymarzony obiekt wojenny. Żaden generalny bohater nie zechce pozować do pomnikowego dzieła inaczej jak na koniu, pomimo, a może właśnie dla jego nieobliczalnego

głupstwa. Wilhelm II pozował Kossakowi w uniformie huzarów na osiodłanym zydłu, ale nigdyby nie zechciał wsiąść konno prosto na zydłu, jak wolałby umrzeć, niż figurować w niedalekiej przyszłości na pomniku bez szabli u boku. Tak samo, czułby się Mickiewicz na Krakowskim, gdyby mu ukradziono surdut. Niemcy mówią, że w Warszawie niema uczciwości. W samych Niemczech ukradziono cały pomnik. Szabla i konik dla Jasia są ważniejsze, niż pomnik i zapomniane w domu spodnie. Poniatowski czuje się dość dobrze bez spodni, bo siedzi na dobrym koniu. Dzieci tak lubią szable i konie, że jeżdżą oklep na krzesłach i rąbią prętem. Fantazja robi z dzieci bojowników, a z tych bohaterów. Na fantazji się opiera urok dzieciństwa i okropna realność wojny. Już w dziecku się budzi wojna, a każdy żołnierz dźwiga na sobie kawałek pomnika. I mówią, że można pieszkozić wojnom, i coś poradzić na utrwalenie pokoju.

Nie, koń nie wymyśli prochu. Najwięcej wypadków ze wszystkich środków lokomocji bywa z koniem, prócz chyba wojny, jako niezawodnej komunikacji z tamtym światem, urzędowej z fantazją i inteligencją konia, z uporem osła i pracowitością muła. Konie elberfeldzkie rozwiązujące zawiłe arytmetyczne zadania są taką samą okultystyczną anomalią, jak wojna o ideał lub ideał bez wojny.

Mamy najlepszych jeźdźców na świecie, bo mamy marne konie, twarde karki i najbujniejszą fantazję. A głównie dlatego, że jesteśmy z koniem spokrewnieni. To powinowactwo figuruje aż hen w metrycznych annałach klasyków, którym można dużo zarzucić, tylko nie brak obserwacji. Martial mówi: *Venit et epos to Sarmata pastus equo*. Jaś i koniczek powstał z tego samego rozbrykania, razem się zrosli i żyli, mają tę samą psychikę i krew, co nie jest wodą, lecz gorącą piwną polewką z serem, są obdarzeni tą samą zupełną obojętnością na niebezpieczeństwo, ale zato w potrzebie umieją złożyć tak szeroką i nieobliczalną ofiarę z krwi i piwa, aż sam Staszyc musiał błagać: „Polacy! zlitujcie się nad losem naszym. Jesteśmy z narodów najubożsi, czemuż ze wszystkich najrozrzutniej żyjemy”? Zawsze mieliśmy dobrą jazdę i najkrótszą drogę na tamten świat. Z Polski zawsze było najbliżej do nieba, ale też o dwa kroki leżało piekło dobrych zamiarów i potępieńczych swarów o ich wykonanie. Ani to gorsze, ani lepsze od innych przymiotów innych narodów.

Niema już dawniejszych koni, szlachcic nie wychodzi z rana z różańcem w rękę do swego dzianeta, lecz z protestem wekslu i sekwestrem, z troską i pokorą wychodzi do żyda i demokraty z teką. Cóż, nowe czasy—nowe konie, marne czasy—marne konie. Niema nawet z czem się pokazać na porządnej wojnie. Nasz koń i nasz żywot, nasz animusz i fantazja schabeciały i zeszkapiały. Niema kultury konia, gdzie ludzie są w jeszcze mniejszej kulturze i więcej szanują zwierzęta, niż samych siebie. Jedziemy galopem w niepewnym kierunku, i niewiadomo poco nam się śpieszy? Na naszym herbie powinno tkwić: na złamanie karku! Sienkiewicz nie przesadzał, kiedy opisywał szarżę husarji na dzidy, muszkiety, lub Kossak, kiedy malował pęd szwoleżerów na skały Samosiery, na armaty i inne szaleństwa. To nic, że spadało rycerstwo, jak gruszki z potrząsionego drzewa, ale koń był ładny. Choć dziś niema takich koni, ani takich gruszek na wierzbie, ale też jest i zawsze będzie ładnie, kiedy ułan z konia spadnie, towarzysze go tratuja i z pewnością podśpiewują, że tak na wojencę ładnie. Koń i jego kawalerzysta są i będą przedmiotem podziwu i westchnień artysty i niewiasty. Porwanie Sabinek udało się dlatego, że zbóje byli konno, i dotychczas zupełnie niewytłumaczone zostaje porwanie Europy przez byka. Batalista jest porwany przez konia i wtedy ma tyle dowcipu, co koń na scenie w Wagneroskiej operze.

Polska jedzie na historyczno histerycznej kobyle, (zapomniałem jakiej maści, ale napewno nieokreślonej i niezdecydowanej), jedzie na klacze cokolwiek dychawicznej i mocno niemłodej, jedzie prosto z mostu do wody. Koń ma pragnienie, jego dostęp do morza ma cechy normalne i pocieszające. Zresztą, kobyłka wypłynie, a co z Polską będzie? Koń nie długo żyje, a co będzie z Polską za lat dwieście? Niebezpiecznie i nieprzezornie wiązać swe losy z losem konia, choćby historycznego, choćby żywcem zdjętego z pomnika. Koń zwłaszcza pomnikowy lub dopraszający się o pomnik, ma maniery nieowijania w bawełnę swych gałkowatych dowcipów, jakie składa w w najnieodpowiedniejszej chwili i miejscu, choćby na pomniku. Krótko—jasno—dobitnie! Polak jak drugi Rzymianin lubi lakoniczność, jasność myśli i dobitność wyrażen. Lubi przytem konie, ale ich niema, bo koń zwłaszcza rasowy dziś za droga rzecz. Nawet kasztanka ma w sobie coś niecoś z chabeta. Polak lubi też wojenkę, ale nie lubi płacić. Każdy wojujący nie lubi płacić,

woli wtedy płakać, ogłosić się niewypłacalnym i błagać o przebaczenie długów. Swoje długi i u swoich można umorzyć krótko, jasno, dobitnie, ale innych nie, tembardziej logiki wojny i jej skutków.

Koń i wojna rozumują po końsku, i nic ludzkiego w ich logice niema. Koń, rozumując prosto z mostu, przelećnie się miotły i poniesie na złamanie karku, ale pozatem się niczego nie boi, nawet wojny i poniesie swój koński łeb pod kule. Koń rozumuje po końsku, ale pomnikowy koń wcale nie rozumuje. Ani piędzi ziemi, ani strzępka Pomorza, ani skrawka Śląska, ani jednego powiatu z pustyni wschodniej, ani gadania, ani żadnego protokołu, raczej niech między Odrą i Wisłą, między Odrą i Wartą, między Wisłą i Berezyną, między Wilją i Sanem, Niemnem i Dniestrem rozgorzeje łuna wojny, w którą Polska rzuci wszystkie swe zasoby i siły, wszystkie atuty i bogactwa. Albo—albo. Albo nietykalność, nienaruszalność, — albo wojna. Chcemy pokoju, ale nie pogardzamy wojną. Pokój nie za wszelką cenę, a wojna za cenę wszystkich skrawków, strzępków, kresów. Ceny ziem zachodnich i wschodnich nie zapłacimy nigdy i nie przyjmujemy nigdy, a cenę walki o wartość wszystkich ziem razem wziętych zapłacimy chętnie tą samą ziemią, skąd nasz ród, bo prócz ziemi i rodowych pamiątek, nie mamy nic do oddania, a te oddamy tylko za cenę wojny. Oddamy życie i mienie, — jak głosi odezwa. Rozwiązanie dylematu proste, jak wojna. Czy tak, czy owak—wojna, czy wygrana, czy przegrana jednakowa strata ziem lub ich równowartości. No i krwi, ale to się nie liczy, to są alimenta wojny i żółd patryjotyzmu.

Po naszych trupach, raczej po trupach dzieci ojczyzny przestąpić można próg naszej ziemi, bo gdzie ziemia, tam trupy, gdzie zamknięte drzwi—tam wróg. Wszystko na kłódkę, wszystko wykreślone i zważone, wszystko ma swoje granice naturalne i nienaturalne, a strzeżone pilnie w dzień i w nocy,—oto kradzione życie ludzkie. Koń mówi w taki sposób i o tem, prosto z mostu, po gospodarsku, i im prościej, tem lepiej, im brutalniej, głośniej, twardziej tem mniejszy skutek i dosadniejszy rezonans. Patrzy prosto w zachłanne ślepie wroga i wyczytałby w nich radość, gdyby umiał czytać. Głośnie larum, potrząsanie szablikiem, demonstracje, rzenie i tententy oznaczają popłoch i strach, nie rozumiejące, że będzie na to czas i miejsce, kiedy naprawdę między rzekami rozgorzeje walka, że niema sensu

czynić exposé swych myśli i strachów, kiedy wróg wie o tem dokładniej, niż my sami, oraz że lepiej mieć jednego mniejszego wroga, niż dwóch wielkich i dziesiątek małych. Czy nie lepiej i przezorniej się zapytać u 30 milionów serc „polskich”, czy tak jest i tak będzie, czy naprawdę żadne z nich nie zawaha się ani na chwilę przed złożeniem ofiary z krwi własnej i mienia dla obrony tych terytorjów, które i t. d., czy ludy, których niema komu kochać i niema czasu u nikogo pomyśleć o nich, są istotnie uszczęśliwione z obecnego „stanu posiadania” i nie tęsknią nigdy do pełnych garnków w niewoli Egipskiej, idąc już osiem lat z przeznaczonych czterdziestu przez pustynie, cuda i cudowiska do ziemi obiecanej żydom, do wyśnionych rajów bolszewizmu, to rzek płynących łzami i krwią bratobójczej walki. Kapie mdła manna obietnic, lecą do rozdziawionej gęby pieczone przepiórki nieróbstwa, mży przenikliwy deszczyk tymczasowości i oczekiwań, rozłazi się w palcach ułuda, i pluszcze pod nogami błoto życia, — ale coś nie widać entuzjazmu do wojny i szczęścia z obecnymi warunków.

Rasowy koń to uroczysta bestja. Rzy jakby mówił i mówi jak zwycięzca z pod Płowiec, Psiego Pola i Kaniowa. Ale życie to nie uroczystość, — koń nie wyrocznia, choć powaga, a na jedno zwycięstwo przypadają dwie porażki i jeden pogrom. A obywatel, który nie był nigdy człowiekiem i nie został jeszcze koniem, mówi odwiecznie tak samo: ubi bene, ibi patria. Koń nigdy nie zbłądził, człowiek zawsze. Koń jest łagodny i na tyle rozsądny, że historia jeszcze nie zanotowała wypadku wojny między końmi. Gdyby one same decydowały o naszych losach, możnaby już dziś walić ze wszystkich wiwatówek i bić we wszystkie dzwony radości.

Błądzą ci, którzy mają jeszcze dokąd i poco błądzić. Błądzą nawet ci, co nieomylnie prowadzą chromych, będąc ślepyimi. Czeką nas wspólny rów błędzenia, błąkania się i obłądu. Czeką nas wojna, ta nowa i najlepiej udoskonalona ku najgorszym końcom. Błądzą między trzema sosnami tylko nietrzeźwi, zakochani i filozofowie, reszta błądzi w szczerem polu i szuka wczorajszego dnia i jutrzejszej zwady. Błądzą też po polskich miastach i ziemiach, szukając chleba i pokoju w obu znaczeniach, eksmisjonowani, zdemobilizowani, zredukowani, zniwelowani, eskardynowani, ekspatrjanci i wogóle ludzie, których twardy wojenny los przyparł do łańskich ścian staropolskiej gościn-

ności, od której pozostały tylko pogańskie nazwy i austriackie gadanie, i wypalił z pradiadowskiej krucicy w płonące zapalem, a wciąż zdziwione, choć już martwe oczy.

Nie trzeba błądzić! — mówi Zoratustra, policjant i koń. Błądzenie to za kosztowna rzecz dla nietrzeźwych i niemocnych i zbyt tania i nieużyteczna dla posiadających prawdę.

Prawo wojny.

Kto niema racji, ten się gniewa. Nie mający racji wojuje. Brak racji uzupełnia pięść. Ona jest ostatnim argumentem nieracji i pierwszym słowem bezprawia. Prawo milknie, kiedy przemawia pięść. Milknie, bo czuje i wie, że nie we wszystkim ma rację, że hywa nieraz sankcją i uzupełnieniem nieracji.

Podłożem prawa sumienie, a założycielem prawa Bóg. Sumienie było niepotrzebne i prawo zbędne, kiedy człowiek żył, czy miał żyć wiecznie i będą też niepotrzebne, kiedy człowiek rozpocznie przerwana przez siebie niesumiennie i bezprawnie drogę ku trwaniu. Bo prawem człowieka żyć, a nakazem sumienia być w zgodzie z Bogiem, ze sobą i prawem. Powstało prawo w drodze konfliktu między stworzeniem i Twórcą i stało się uregulowaniem i sposobem życia, bo mimo wszystko, życie nie przestało żyć, a Stwórca nie przestał być dobrym. Prawo rozwinięciem i komentarzem rzeczy bezsprzecznych gwoi obwarowaniu sprawiedliwości przed zamachem ze strony człowieka, dla którego nieraz prawo i sprawiedliwość są umówioną formą i autorytetem bezprawia.

Prawo jest dotychczasową najwyższą formą rządzenia za pomocą radzenia się ze sobą i ze swem sumieniem. Sumienie rzecz elastyczna i nieraz całkiem dębowa. Kiedy zaczęto naradzać się nad ustaleniem prawa, nad jego formą, przepisem i rozciągłością została połowa prawa, ta brzydsza połowa, męska. Całe prawo leży w sumieniu, w zbiorowym sumieniu, co ma być pewną gwarancją i utożsamieniem z głosem bożym, ale wiadomo wszystkim, że na sumieniu każdego i wszystkich leży długi cień bezprawia i nierachowania się z cymkolwiek głosem, a prawo rzuca poza sobą czarny cień, w którym się kryje bezpiecznie wojna i krzywdy. O wielkości bezprawia decyduje jego stosunek odwrotnie proporcjonalny do małości gramu czystego prawa, nie z natury małego, ale że go takim zrobił człowiek, umięjący tylko pomniej-

szać dobro i zwiększać zło. Ten stosunek jest taki, jaki zachodzi między życiem i dekalogiem, końcem prawa i najczystsza jego treścią—Wolą bożą. Kiedy prawo się skończy, zacznie się Wola boża, bez sprzeciwu, zakazu i negatywnych postawień się człowieka; kiedy się skończy życie, dekalog nie będzie potrzebny. Prawo powstało z grzechu, a „grzech wziął przyczynę z zakazania, albowiem bez zakonu grzech był martwy. A jam był umarł, bo grzech, wzięwszy przyczynę przez przykazanie, zwiódł mnie i przez nie zabił.“ (Rzym). Przyczyną grzechu zakaz, ale nie w zakazie grzech, lecz w przekroczeniu zakazu. Nie prawo przyczyną i winą wobec przestępstwa, lecz przestępca wobec prawa, nie jako ofiara cudzej myśli i woli, lecz własnej woli i współredaktorstwa wyroku. Prawo ludzkie i przekroczenie jego, sąd i winowajca, paragraf i jego wykroty sprowadzić się dadzą do jednego mianownika — wspólnego grzechu i wychodzą z jednej wspólnej winy, naszej bardzo wielkiej winy. „Przetoż nie możesz być wymówion, który sądzisz. W czym drugiego sądzisz, samego siebie potępiasz: bo toż czynisz, co posądzasz“ (Rzym). Tak samo nie może być wymówion żaden, którego sądzą. A z powodu tego, nie może być każdy podsądny usprawiedliwiony. Prawo może być winne wobec przestępcy, ale przestępca musi być winnym wobec prawa. Gdyby nie było przestępstwa, nie byłoby prawa, ale gdyby prawa nie było formalnego, nie byłoby materialnego przestępstwa. Prawo musi być nie dlatego, by dać istnienie przestępstwu, jak więzienia są nie jako przyczyna lecz skutek; prawo istnieje, by określić, zważyć na dłoni i wagach, klasyfikować i karać, a nawet zapobiec, zmniejszyć i uniemożliwić przestępstwo.

Tak w teorii, ale w praktyce prawo nieraz karze i działa, by grzech ożył. W praktyce grzechy są skutkiem prawa, które nieraz chodzi i zabija swem lapidarnem a tępem „rozkazowaniem“. Dodatki i suplementa, załączniki i podpórki, klauzule i paragrafy, haftki i kruczki, guzik i pętelka zajęły miejsce samego prawa, które stało się niejasnym sensem przejasnych w swej gmatwaninie i sprzecznościach komentarzy, kodeksów i ustaw. W postscriptum listu zawiera się najważniejsze, z małej adnotacji jeszcze mniejszego odnośnika może powstać wielka sprawa, i potrafi obalić się jeszcze większa sprawiedliwość. Ona i prawo to nie to samo: może być sprawiedliwe, a bezprawne i odwrotnie. Egzemplum: wojna. Sprawiedliwa i święta, a urągająca każdemu

uczuciu i wszystkim prawom. *Inter arma silent leges*. Wogóle skąd jej prawa, kto je komu nadał, czyj autorytet rozgrzeszył przelew krwi i pochwalił zabójstwo? Oparte takie prawo na powadze samoswojej, na prawie człowieka, który sam sobie tworzy prawa i bezprawia, na uzurpowaniu mankamentów ludzkiej natury dla wywołania całości i cnoty, na piątym wymiarze, na teorii względności. Opiera się ono na słupach z dymu, z dymu armat, na międzynarodowej zgodzie, ochraniającej i opiewającej racje mocniejszego. Tylko ten ostatni z pola bitwy ma prawo i nie pytają o nie u zwycięzcy i nie ciągną go do odpowiedzialności za wywołanie wojny.

Wywołuje się ducha wtedy, kiedy wszyscy tego bardzo chcą. Mars się nie zjawia niewołany, nieoczekiwany, niewyczarowany przez wszystkie kuźnie intrygi, kapitału i spisku. Wogóle odpowiedzialność wojny wobec prawa jest jedną z tych bajeczek, jakie napisane są ku zbudowaniu zwyciężonego i nie mówią nic prócz morału, jednakowo dla obu nieprzydatnego.

Prawo wojny zakwestjonowało bezsprzeczne prawo człowieka do życia. W tym jej pierwsze kardynalne bezprawie, od którego się wywodzą wszystkie inne, duże i małe krzywdy, przegromne cierpienia i nieużyte ugory szczęścia. Mało tego, prawo wojny uczyniło człowieka odpowiedzialnym za nieprawne posiadanie życia. Został zwołany extra sąd wojenny, najdostojniejszy rabinat w generalskich szlifach, prześwietny Sanhedryn z arcykanalją na czele, wielka narada różnych deputowanych od „łotrzewizmu”, walne zebranie mistrzów przesławnego cechu rzeźnickiego z nieśmiertelnym Kleonem w roli tytułowej. Wszystko to ryknęło giewałtem wielkim, a wściekłym: winien jest śmierci!

Prawo człowieka na jego czołe, na tablicach jego serca. Prawem bezsprzecznem—żyć, reszta względna. Człowiek niekoniecznie i nie kategorycznie musi i powinien żyć, ale skoro żyje, to ma prawo i obowiązek żądać wypełnienia wszystkich wymagań i praw życia i sam się musi do nich stosować i być odpowiedzialnym za nie wobec życia i Dawcy życia. Życie konieczne ma tylko Bóg. On żyje absolutnie i bez prawa. Prawem Jego życia kochać, ale miłość nakazana jest obowiązkiem, a Bóg nie jest naglony ani przez prawo ani przez obowiązek, jest ponad tem, jest niczem z tego, co określamy i co się da zmieścić w najszerszych zarysach prawa, sumienia i obowiązku,—jest miłością. Wszystko inne, każde stworzenie i każdy postulat etycz-

ny i kategorja materji i ducha żyją niekoniecznie, względnie i prawnie. Absolutnego prawa niema; gdzie się zaczyna względność, tam się zaczyna prawo. Gdzie początek życia, tam początek prawa. Życie i prawo nie są identyczne, ale bez prawa niema życia, a prawa niema bez życia. Żyjący ma prawo do życia, nie jako konieczność, ale uzupełnienie, możność i możliwość. Na wojnie niema prawa, czy też prawo podlega wojnie,— niema tam też życia, lub stoi ono samotne pod szubienicą wielkiego haku pytajnika, pod ciężkim obuchem rzeźniczej kwestji. Odpowiednikiem praw niesprawiedliwych, sfałszowanych, sztucznych i interesownie umówionych jest też takie same życie. Jeżeli śmierć ma podobne prawa jak życie, czyli jeżeli posiada ona prawo ingerencji w sprawy życiowe, jest najwyższą instancją kasacji i przekreślenia planów życia, jego racji i usprawiedliwienia, wtedy śmierć ma większe prawo niż życie, wtedy się dzieje najwyższe bezprawie i największy nieporządek. Prawo ludzkie może być jedno: nie największe i nie najmniejsze, ale sprawiedliwe. Człowiek z niego porobił kategorje prawa i klasyfikacje bezprawia. Wtedy się stało, że najwyższe prawo, umówione między ludźmi, jest również i największą niesprawiedliwością. Summum jus, summum injurium. Najwyższa niesprawiedliwość stała się codziennem jarzmem życia, stałym kieratem bezwolnych stworzeń, których prawem bat i sprawiedliwością — żłób.

Stworzywszy taką zasadę, człowiek nie zawahał się nazwać Najwyższego prawa Boga i Jego samego najwyższą niesprawiedliwością, a wojnę podnieść do godności bezprzeczej sprawiedliwości, popartej każdym prawem boskiem i ludzkim, prawem życia i śmierci, wieków i narodów. Twórca życia dał mu też odpowiednie dobre i słuszne prawa, tak wznosłe i pełne miłości, że bez nich życie zamienia się w piekło, a moralność w studnie węży zamiast wody. Ale człowiek odebrał życiu jego prawa i dał mu swoje, pozał się Boże, dyrektywy czynów, schematy umierania, haki szlachtuzy i półki jatki.

Szkodliwa to rzecz wiedzieć, że się coś umie, coś może. Niebezpieczna rzecz kierować nawą i sumieniem, szacować życie i indywidualne walory, ustanawiać prawa, karać za ich przekroczenie, ponosić odpowiedzialność za ich słusność i w imię tej słusności nagradzać. Niemoc prawa przejawia się w oznaczeniach za jego spełnienie. Spełniać niemocne i niesprawie-

dliwe znaczy popierać bezprawie. Za poparcie trzeba płacić. Nic za darmo, gruba zapłata należy się za „forsę”, mało co się zdziało dobrego i złego bez poparcia. Można zgóry określić stopień bezprawia miarą nagród za jego wykonanie. Można na oko zmierzyć każdą wydętą wielkość, wysokie stanowisko i szerokość uznania ilością zużytego tlenu i podpórek, jakością pokrewieństw i stosunków.

Nikogo się nie nagradza za niespełnione zabójstwa i wogóle za ściśle wypełnianie dziesięciu bożych przykazań, owszem, każdy ich skrupulatny wykonawca jest ukarany cokolwiek śmiesznością i odrobiną pogardy świata. Nagradza się tylko za wykonanie praw świata. Najwięcej nagród przypada z ręki niesprawiedliwych, uzurpatorskich rządów i największą ulewą odznaczeń, awansów, orderów i krzyżów z żelaza i drzewa sprowadza wojna. W samej sprawiedliwości, w wykonaniu obowiązku leży nagroda, ale bezprawie szuka poparcia z zewnątrz, pożyczki u prawdy, forsowania swojej nieprawdy pożyczonym atrybutem spełnienia powinności, a nawet nagrodą wewnętrznego zadowolenia. Mając wewnątrz pustkę, bezprawie nagradza zewnętrżnością, która nieomylnie budzi zadowolenie najszerzych mas. Wszystkich nagrodzić nie można, wszystkich zadowolić niepodobno, ale bezprawie stara się rozciągnąć swe łaski na możliwie najliczniejsze rzesze popierających i sympatyków. Członkowie zarządu i prezydum bezprawia składa się z małej grupy jednostek, obdarzonych wyjątkowym zmysłem nierządu, nagrodzonych wewnętrzną siłą niesprawiedliwości. Im ona większa, tem mniejsza liczba głównych sprężyn. Jak wszystko genialne, niesprawiedliwość jest prosta i tak uderzająco oczywista, tak krwawo boląca, jak krzywda.

Im większa wojna, tem mniejszy do niej powód, tem mniejszy pionek, mniejsza iskierka, nieznaczniejszy guzik i wtyczka, łączące ujemne i dodatnie elementy, nagromadzone w baterjach wyrachowania, w akumulatorze gniewu i zemsty. Jeden rachuje z kilkorgiem fachowych rachmistrzów w charakterze doradców, ale się gniewa tłum, ten co nie ma racji, ani wtedy, kiedy jest spokojny, a tem bardziej, kiedy się gniewa. Jeden przekręca wyłącznik, a zapala się całe miasto, płonie cały kraj. Sam rachujący jest spokojny, bo rachunek jest czynnością obiektywną, ale niespokojny jest płaczący, obdzierany lub egzekutor. Rachunek na gorąco jest najbardziej dynamitarną rzeczą na świecie,

najbardziej nieprawdopodobną, nielogiczną i niematematyczną podobnie jak pocisk jest zimny, precyzyjny i logicznie pewny, póki nie eksplodował. Eksplozja rachunku wywołuje jęk i krzywdę aż pod stropy nieba. Detonacja rozchodzi się falami, jej kręgi rozlatują się z szybkością setek tysięcy kil. na sekundę. niesprawiedliwość zatacza najszerokie koła, rozchodzi się dalej, zahacza coraz nowsze obiekty, nowe ziemie i kraje, sięga w przeszłość, w wieczność. Niezapłacony rachunek niesprawiedliwych obliczeń trapi sumienie narodu; przyszłe pokolenia będą płacić, będą dźwigać na sobie jarzmo jednej złej domyślności i jeść gorzkie a wysokie procenty od swojej krzywdy.

Wagi niesprawiedliwości dzierży ślepa bogini prawa. Nic nie widzi, i nikt nie widzi prawdy w jej wagach. Co robi, dlaczego tak robi, i co z tego będzie? —nikt nie wie, ona sama nie wie, tylko, że jest lex, dura lex, prawem drakońskim, siłą konieczności i musu. Każdą rzecz nieprzenikalną zazwyczaj się obchodzi i objeżdża, każde niepewne wagi omija się, każdy ślepy lub niesumienny kupiec bankrutuje. Prawo raz wraz podupada, sprawiedliwość przechodzi ciężki kryzys, a uczciwość nieraz była w stanie likwidacji. Na wagi ochraniające przez ślepy przypadek, tenże przypadek raz wraz dorzuci swój ciężarek, by bezprawiu stało się zadość, by sprawiedliwości nie było zanadto dobrze wśród ludzi, a ich miary i wagi nie były zbyt prawdziwe. Jednakże nie możemy się obejść bez prawa, wag, bogini i bezprawia. Czem je zamienić, i co będzie miarą kategorycznych imperatywów życia, skalą wołania o sprawiedliwość i precyzyjną wagą krzywdy?

M ł o d o ś ć.

Życie nasze krótkie,—stwierdza ze smutkiem każdy, a przedewszystkiem młodość w swym hymnie „Gaudeamus“. Kontrast między ponurą świadomością bliskiego końca i jaskrawą wesołością zbyt jest nielogiczny, ale od tego młodzieży, by ważyła lekko na dłoni dzisiejszego dnia najcięższe sprawy i troski. Grunt się nie przejmować. Śmierć bliska, ale droga do niej daleka. Człowiek sam jest grabarzem swego szczęścia, przyszłości swojej i swoich bliskich, a zwłaszcza myśli o śmierci. Najbliższą śmierci jest młoda krew i najdalej ucieka od śmierci

młoda myśl, jak najbliższym fermentacji jest świeży sok winogron i najdalszym od rozkładu — kamień.

Krew ma kolor wina. Gdy wino budzi pragnienie, bywa wypite, gdy krew jest pożądaną, rozlewa się ją. Wino nie wypite jest nieużyteczne, nigdy nie użyte przestaje być winem i formalnie i materialnie. Krew nie rozlana kwaśnieje, jest miednicą brudnej wody. Przeznaczeniem krwi anemja, a powołaniem rozlanie i wypicie. Piją wino wszystkie stany, a gdzie piją tam leją. Krew nie woda, a wino i krew rozwodnione, atoniczne, o małej zawartości witamin i alkoholu są raczej toksyną, zatruwającą życie, niż jego pierwiastkami. Wino i krew fermentują, musują, uderzają do głowy, dopóki młode. Nieopierzona jeszcze na ikarowych skrzydłach młodość wzlatuje nad poziomy, ząbkując jeszcze, sercem gryzie; nie umiejąc prawidłowo pisać, najwięcej pisze wierszy, listów miłosnych, i odezw do narodu; myśląc przeskokami i na wiarę, reformuje świat, mówi jak prorok i czyni jak warjat. Taka natura młodości i jest chora lub zdegenerowana, kiedy jest inną. Młode wino i krew są cenne nie jako wartość małej ceny, lecz jako rzecz, od której wartość pochodzi.

Okres burzy i nacisku w narodowej kadzi, w beczkach młodości jest konieczny, ale też musi przeminąć. Ze stałego fermentu nie będzie nawet pospólnego piwa, będą fusy i szumowiny do wylania na śmietnik. Bez fermentu w winie, człowieku i narodzie będzie tylko ocet, zastój i pleśń. „Szkłanka i piosenka, co poruszy krew“, są miłym motywem każdej radości. Gdzie piosenka milknie, a w szklance tylko ponure wódczysko,—tam źle. Albo nie stać na wino, jak dzisiaj, albo zgasta radość, jak wczoraj i zawsze: w jednym i w drugim wypadku jest źle. Wino i krew im starsze, tem cenniejsze i literalnie i przenośnie. Nabierają waloru, spokoju, bukietu, pije się je małymi łykami, smakując każdą kroplę, ceniąc każdy dzień. Żłopie dobre wino, jak piwo, tylko wzbogacony rzeźnik, nie szanuje starszego tylko łykowaty młodzian i współczesna panna,—para z naszej ery zaniku wina, pieśni... i młodości. Spala życie tylko młodość, żłopie swoje dni, pogania je w szalonym galopie tylko Orlando furioso. Dobre wino i krew nie są w masowej sprzedaży, nie mają etykiety, nie potrzebują reklamy, podaż ich niewielka, przechowują się troskliwie, ochraniane od chorób, a już przenigdy nie rozlewa się ich w byle knajpie, w każdej kompanji, przy każdej „szklance i piosence“, każdej zwadzie

ulicznej, burdach studenckich i wesołej wojence, w której prócz wesołej młodzieży niema nic wesołego.

Wojna czerpie swe soki z fermentów krwi i wina, tuczy się młodością górną i chmurną, którą tak łatwo zapalić i utrzymać w stanie zapalnym widokiem krwi i dawką wina i idei. Niema tak złego gatunku wina, którego by nie wypito, niema najgorszej idei, której by nie zdołano upiększyć, przystroić, upoić, przykryć lub wymyć ze krwi, błota i łez. Mniej jest sfałszowanych win, niż sfałszowanych ideałów. Dolepia się odpowiednią etykietę, plombę, właściwą firmę, a już gwarancja prawdy gotowa, już wierzą święcie, gotowi za nią przelać własną i cudzą krew, palą się, by wypić lub wylać wino wrogów, a jeszcze lepiej zatruć je. Nie byłoby fałszerstw, gdyby nie fałszerze, gdyby nie elastyczność i zarobkowość ideałów, gdyby nie było kogo naciągnąć, nabić w baterję, rozstrzelać, unieszcześliwić. Nie byłoby czego przelewać, gdyby nie krew, bo wino przelewa tylko pijany. Nie byłoby kotletów bez mięsa, ani armat bez armatniego mięsa. Nie byłoby zwady, gdyby nie współzawód, ani wina bez pragnienia, ani kary bez winy. Do zwad pierwsza młodzież. Gorąco czuje, ale kiepsko myśli. Te dwa przymioty odpowiednio urobione i podegrzane tworzą prądy, spięcia, zahaczenia i wystarczające racje do zbrojnych starć, długotrwałych, wieloletnich wojen, w których młodzież, jeśli nie wyginie, to postarzeje: dogryzać się będą dzieci, jako szesnastoletnia gwardja Napoleona. Dopóki istnieje młodość będą wojny, ale są one niemożliwe bez zapалу młodości, na trzeźwo, logicznie i uczciwie. Bez młodzieży niema wojny. Młódź żeńska przeszkadza na wojnie, jako element raczej likwidacyjny i siostrzany niż twórczy. Ratuje sytuację początkujący i gołowasy męczyzna w zarodzie, ten skory do wypitki i do wybitki, pierwsza przyczyna zwady i łez niewieścich, autor klęsk i nieszczęść, szalony barbarzyńca, puszczający z dymem swój i cudzy dostatek, krzywdziciel i morderca, który poza wojną i sankcją mundura wzdrygnąłby się z przerażeniem na widok swych czynów, słów i myśli. Zawodowy strzelec, przysięgły zbrodniarz, wytrawny myśliwy na ludzi, chciwy kolekcjoner skalpów i chytry poszukiwacz śladów nóg braci i skrytych tropów pochowanych nędznych resztek, nie mógłby żyć na trzeźwo, upojony łatwym zwycięstwem, karmiony mięsem biednych, objuczony łupem i przekleństwem. Musi być pijany. Wódka dopełni reszty, ona będzie tą brakującą kroplą

pełnej czary, wypełnieniem pustej beczki Denaidy. Wódka tworzy cuda przemienienia wody w wódkę, ludzi w bydło, sąsiedzkiej sprzeczki w wojnę. Między winem i wódką taka sama różnica, jak między współzawodnictwem i morderstwem. Wino—iskra, zapal, ogień; wódka—dym, pożar, czad pogorzeliska. Idąc na wojnę, by wytrzymać, trzeba mieć wódkę, by iść do ataku, a nie biec w odwrotnym kierunku drogą strachu, trzeba być pijanym. Nawet zwykły pobór musi być obłany łzami i wódką. Kobieta wiedzona nieomylnym instynktem, krzyczy na całą wieś wisząc na ukochanej szyi: „Jezus, Marya! Wódki żydzie! Toż to idzie, toż to idzie”! (Niemojewski) Lżej iść w odurzeniu, choć gorzej się z niego budzić. Ale od tego wojna, by się nie budzić, tu jej powołanie i skromne wawrzyny. Były człowiek, śpiący snem wiecznym posłuży jeszcze trochę, jako sztandar agitacji, lub trąbka do apelu na tamten świat, do wsiadania na rydzego konia. Zdeformowane ciała, splecione w bratnim uścisku z zębami na gardle bliźniego, z paluchami w jego oczodołach, z bagnetem w jego męskiej pierś, kadłuby o wywalonych sinawych wnętrzach, rozłupanych głowach i poszarpanych członkach, będą ułożone przystojnie, udrapowane, skropione pod wtór muzyki, wiania sztandarów i mów podniosłych, żeby zmiękczyć wrażenie i osłabić przytomność.

* * *

Pobór się zaczyna od lat możliwie najwcześniejszych. Biorą co się daje. A potem przymus. Wojna ideą ale przymusową, jedyna idea w swoim rodzaju, co się rodzi, wyrasta i umiera pod przymusem, z wymuszonej woli gwałtu, z uczucia wątpliwego szacunku. Gdyby się zdały na wojnę dzieci, byłby to materiał najlepszy. Toć w tym kierunku idziemy sprawnie naprzód. Militaryzacja dziatwy jedną z ciężkich zbrodni Europy. Niby niewinnie brzmią nazwy: skauci, druhowie, związki strzeleckie i drużyny śpiewackie, ale za nimi wyziera krwawa mordą Marsa. Nawet dziewczęta zwabiono do tej niecnej roboty. Bolszewicy wzgardzili starszymi, jako straconym materiałem, a zwrócili wyłączną uwagę na młodzież. Ich „komsomoły” spreparowały ją z tak dokładną precyzją, że nie trzeba zachęty bataljonów dzieci do zbrodni i szału. „Hejże, młodzieńcze! Do ręki broń, — wal śmiało w rosyjskie świętości”. „Malczyszka i szczenok” brał udział w sądzie „zaocznym” nad Bogiem i więcej zastrzelił ludzi, niż widział wron w swem miasteczku. 7

Starsi nie pójdą na wojnę nie dlatego, że są fizycznie słabi, ale że porozumnieli, nie na tyle wszakże, by przeszkodzić wogóle poborom, zbrojeniu się i wojnom. Sami nie pójdą, ale wyślą swych synów. Gdyby synowie też nie poszli, wszędzie i w każdym kraju, żadna siła nie zmusiłaby ich do tego. By tak było, trzeba uczciwości i mądrości, a to podobno rzeczy rzadkie i drogie. Za drogie jak na biedę ludzką. One się nie popłacają, za nie jeszcze trzeba płacić... własną skórą. Żle mądrym wśród głupich, głupio trzeźwemu wśród pijanych, śmieszny uczciwy wśród rzezimieszków. Lepiej, by wszyscy byli jednakowo głupi lub mądrzy, jak jednakowo poborowi i z tkliwą równością przeznaczeni na rzeź. Nie było wypadku, by wół uniknął noża, chyba sam padnie przedwcześnie ku zmartwieniu rzeźnika. A im młodszy i pełnomięsistszy, tem cenniejszy, tem tkliwiej zwracają się ku niemu oczy rzeźni. Rzadki wypadek, by który rocznik uniknął wojny, by który król nie próbował szczęścia cudzemi rękami, by które pokolenie uszło noża. Umrzeć na łóżku, nie na polu chwały,—fe i wstyd! trzeba jeść swój chleb powszedni nie w cieniu lipy lub przy stole rodzinnym, lecz na koniu, trzeba się schować nie po mieszczańsku na rodzinnym cmentarzu, lecz we wspólnym dole. Chleb trzeba maczać we łzach i jeść w goryczy, stół rodzinny musi być spalony w żołnierskim ognisku, w kościółku o wykradzionych dzwonach muszą stać konie. Ojczyzna woła, trąbka gra, bęben huczy, piramidy na nas patrzą, marszałkowska bułwa wraz ze łzami matki sama się pakuje do plecaka, by namulać plecy, obciążać głowę, przykryć sromotę sumienia. Chodzi o to, żeby szło. A idzie ten, kto ma nogi, ciężki plecak, wypchaną głowę i nabity karabin. Ten sam pójdzie, o ile nabity, o ile nie, można na nim wieszać słoninę, a z szabli zrobić rożen kuchenny, o ile zabraknie ramienia do cięcia. Reszta niewojująca siedzi, a kiedy musi wyjść, to idzie tam, dokąd wskażą, kiedy pozwolą i tak daleko, jak sięga rozkaz.

Dyplomacja.

Wygrana wojna była drabiną ku mocy i świetności narodu, ale do tego trzeba wielkiego ducha i niemałej mądrości. Drabina ma dwa końce: ten co na nią wchodzi, kiedyś wszak zejdzie, bo tylko spiżowy posąg zwycięstwa dumnie sterczy latami na tryumfalnej bramie głupstwa, póki nie ściągnie go kiedyś

ten sam zwyciężony wróg lub inne zapatrywanie na zwycięstwo. Tymczasem o to niema obawy, a tembardziej, by człowiek zmyślał i zawstydził się kiedyś swych głupstw: przeto sterczą pompatyczne Siegessäule, obelisk, Arc de triomphe, szpecą oblicze pokoju niesmaczne Siegesallee i Place de Victorie. Raczej odwrotnie: wygrane wojny były schodami do grobu rodzinnej lekkomyślności i pychy. Wiara w permanentny cud może się zwalić na głowy, jak źle sklezione rozumowanie. Nie wróżą dobrze rysy na gmachu państwa lub zwiotczałe gzymsy sztukaterji wyobrażające Hołd pruski, Pogoń za smokiem i Orła szarpiącego łańcuchy niewoli oraz czerwone sztandary przewrotu. Albo vice versa: pięć miliardów zapłaconych za przyjemność rozmawiania z Bismarkiem pod Sedanem opłaciły się stokrotnie, bo naród oprzytomniał i przestał wołać do boju, lecz do pracy i oszczędności. Porozmawiać z rozumnym człowiekiem lepiej, niż z głupim wojować. Różnie bywa na tym nierozumnym świecie: czasem ryczący do nieprzytomności „Heil dir in Siegerkranz“! ryczy od płaczu, szukając rozumu po szkodzie, — czasem dobrze otrzymać lanie i łupień, bo wtedy może nastąpić przypływ rozumu do głowy, przebywającego w nieodpowiednim miejscu. Oda do różdżki starej pedagogji nie była bez głębszego sensu.

Zwycięża silniejszy, ale słabszy nieraz wygrywa wojnę. Zwycięża nie oręż, ale rozum powojenny, spryt, konszachty, dyplomacja, konjunktura, gra w szachy białoczerwonych interesów, podrażniona ambicja, neutralność kapitału, zachłanność rynków i nafty. Można świetnie zwyciężyć, ale wygrać dudka na kościele. Oręż nie ma rozumu, ale w rękach rozumnego staje się atutem wygrywającym każdą grę. Żydzi mają wstręt do oręża, używają go tylko dla dobicia wroga powalonego przez innych, ale zawsze się kręcą na giełdzie powojennych walorów, w przedpokojach konferencji pokojowych: siedzą na szarym końcu stołu, gdzie najlepiej widać i najwięcej można zjeść.

Przy stole dyplomatycznym zaczyna się rewanż zwyciężonych. Umiejętne pokierowanie, a raczej pogmatwanie spraw, pomieszanie białych figurek z czarnemi, podpatrzenie kart przeciwnika, a jeszcze lepiej zagranie fałszywemi kartami, dyskretna pogrożka i otwarty szantaż, krokodylę łyż i skruszenie serca nie tyle swego ile przeciwnika, — warte są nieraz więcej od najlepiej wygranej bitwy. Przyjść z podniesioną głową uwieńczoną

laurem, w asystencji bogini zwycięstwa, zobaczyć pokorne maski, udaną skruchę i uwielbienie mocy i nie zwyciężyć, ale dać się rozbroić w wielkodusznem lekceważeniu powalonego wroga, być pobitym przez żal niewczesny, stracić wszystkie szanse i zdobycze krwawych lat, nieprzespanych nocy, olbrzymiej trwogi, wyjść biedniejszym niż się weszło, niż się zaczęło tragiczną grę,—to okropne, okropniejsze niż wojna. Wiele śladów prowadzi do jaskini pokoju, ale żadne z powrotem. Wielu mówi: pokój, pokój, ale niewielu wypuszcza z ręki rękojeści rewolweru. Wiele aniołów macha gałązkami palm pokoju, ale żaden z nich nie jest aniołem, przynajmniej nie aniołem pokoju.

Umarli już się nie zawstydzą, może pożałują bezcelowo zmarnowanego życia, klęski swych rodzin i hańby ojczyzny. Żyjącym zostaje tylko rozmyślać, obliczać, zestawiać, trzasnąć drzwiami i wyjść, przeżywając gorzkie wyrazy zawodu. A kiedy skałeczeni inwalidzi, zubożeni i głodni widzą pompacyjny pochód bankierów świata, nuworiszów i hyen na grób nieznanego żołnierza, to całą siłą muszą się powstrzymać od krzyku zgrozy, od napadu wściekłości zdemolowania, bicia i rozpoczęcia na nowo wojny, choćby domowej. A kiedy cały naród porachuje swe zyski w postaci inflacji, różnorodnego upadku i nędzy, wtedy ogarnia go rozpacz, czyli największa porażka ducha.

Było tak, że *nation hypocrite et peuple perfide* rozbiły pewnego słonecznego poranku pod Trafalgarem *toute gloire de la France*, było że z pod Moskwy wróciły tylko nędzne strzępy i brudne ochłapy największej armji, jaką naród wystawił,—i też się raz zdarzyło pod Waterloo, że uciekała cała armja wraz ze zbiegłym z wygnania imperatorem — to się rozumiało, przebaczyło, zapomniało.

I było raz, że wróg łomotał do wrót stolicy, oblegał ją tak cierpliwie, że zostało sucharów na tydzień i szczurów na 8 dni: Paryż się poddał, nastąpiła *Débâcle* pod presją *l'Assommoir*, tak dokładnie opisanych przez Zola. To wszystko wypadło z jednym narodem na przestrzeni jednego wieku, powstałego z krwawej rewolucji i bolszewizmu i ustępującego nowemu wiekowi o początku jeszcze krwawszym.

Ale kiedy po długiej, ciężkiej, koszarnej i nad wyraz krwawej nocy, w której ziemia pochłoneła żywych, i umarli zmartwychwstali, by czempredzej uciec do grobu, poczynął świtać jasny dzień zwycięstwa, *le jour de gloire*, wyczarowany

w podniosłym śpiewie zwycięstwa krzywdy i nieprawdy, kiedy najbardziej zmęczeni zrywali się do boju, jak orlęta napoleońskie, a ranni naprędce opatrywali swe kalectwa, by iść, wciąż naprzód iść, własnymi oczami widzieć, uszami słyszeć, i rękami dotknąć rozgromu pogromców ojczyzny, kiedy już się majaczyły w sennej wizji, w radosnej fata morganie wysmukłe minarety, straszliwe kolumny zwycięstw i groźne wieże obronnych zamków stolicy, a kiedy posłyszeli natomiast trąbkę odwrotu i poczuli kubeł zimnej wody na rozpalonych do czerwoności głowach, i rozniosła się lotem ciężkiego pocisku wieść o zdradzie, konszachtach i przetargach, — wtedy otrzeźwione z przeżenienia oczy zobaczyły tylko kupy gruzów, zniszczony kraj, zjedzoną przez mole wypłowiałą skórę starego tygrysa, teatralne rekwizyty, drapujące porażki i mogiły, mogiły, mogiły.

Dobrze mieć sojuszników na wojnie, ale pokój trzeba zawierać samemu. Ponieważ to niepodobno, więc lepiej nie mieć sojuszników, a ponieważ to niemożliwe zwłaszcza dziś, kiedy wszyscy bandyci się zrzeszają, kartelizują i legalizują, więc lepiej nie prowadzić wcale wojny, a ponieważ to też niemożliwe, bo każdy następuje, czyha, konspiruje i wypatruje odpowiedni moment do napadu, więc lepiej nie żyć. Ale żyć też trzeba, mało tego trzeba „żyć życiem żyjących”, trzeba z życiem naprzód iść i nieść jakiś z czegoś kaganiec, trzeba nic nie spychać nigdy w dół, lecz iść przez życia podniesienie do szlachetnienia świata, — i wiele innych swych potrzeb i naglących konieczności przekładanych nam w nieskończonym rachunku życia i kultury trzeba spłacić i zrealizować, więc... Bądź mądrym, Edypie, rozstrzygnij tę karkołomną krzyżówkę, nie roniąc nic ze swej powagi mędrca i spokoju filozofa! Ale mędrzec more philosophorum zawinął się w togę, napił się wina zamiast cykuty i rzekł:

A nie mówiłem wam poczekać. Podwójnie płaci, komu się spieszy. Kto sobie nie porani boków ostrogami i nie wlepi batów, ten dojedzie tylko na gaszenie świec festivalu, na mycie talerzy po uczcie bogów. Ale wszystkich faworytów i pasierbów z wyścigów o uśmiech losu i oklaski chwili czeka tylko stajnia, a na końcu wyścigowych zawodów zostaje tylko woziwództwo. Wiele daje, kto udaje, że podwójnie daje. Nic nie daje, kto nie udaje, że oddaje ostatnie wdowie grosze. Grosz jest tylko groszem, fałszywy dolar znaczy więcej niż biedna wdowa i jej

grosz. Grosz istnieje poto, by iść do skarboxy dobrych uczynków. Dolar tam nie pójdzie, nawet fałszywy, ale chętnie pójdzie na wojnę, gdzie dwóch uczonych i „walecznych tysięcy“ „pięćdziesiąt tys. narzeczonych“ i „pięćset tysięcy djabłów“ (kompozycje muzyczne) układają film wartości trzech milionów dolarów, czyli trzech godzin wojny. Na wojnie chłop chłopą morduje, a dolar dolara rodzi, tam coraz mniej ludzi prawdziwych, coraz więcej dolarów fałszywych. Na konferencji dolar udaje człowieka, ale człowiek napróżno chce pozyskać względy pieniądza, bo ten patrzy na czarne na białem, a człowiek jest tylko czerwonym, człowiek udaje, że odróżnia czarne od białego, że kocha nawet wrogów, że gotów płacić nawet swoje długi, o ile mu pozwolą płacić fałszywymi dolarami, że gotów się rozbroić i rozpłakać z rozczulenia, o ile mu za to zapłacą i złożą obietnicę nieingerencji (też wyraz) w sprawy jego zbrojenia się i niewglądania za kulisy zbrojnego pogotowia.

Drogi przyjacielu! udawanie rozumem człowieka, a zapłatą za to zdradza. Rozumuje za pomocą przesłanek tylko naiwny. Źle filozofuje, kto rozróżnia prawicę od lewicy, nie dzieli i nie mnoży iloczynu ludzkiego rozumowania przez składniki stada, miłości przez rachunek, ideału przez interes,—kto nie wierzy w dokonywane na ludziach odwieczne doświadczenia, które na tem straciły tylko pieniądze i wiarę w człowieka, ale zato pozyskały doświadczenie. Ono traci, ono płaci. I w jednym i w drugim wypadku niewiele. Traci najwyżej życie i najmniej rozum, płaci w najlepszym razie kłamliwymi obietnicami, w najgorszym fałszywym dolarem. A zyskać może lepsze doświadczenie, obietnicę pożyczki i niedwuznaczną pogrózkę w zamiszowej rękawiczce. Dlaczegożby nie poszukać szczęścia na wojnie, bo szczęście z nieszczęścia nieraz można wyłowić, a zawsze i pewnie nieszczęście z t. zw. oceanu szczęścia.

Życie jest papuziem kołem do skrzeczenia o jego bezwartości, jest kwadraturą koła filozofji, kołem ociągniętem papierem, który byle pajac dziurawi swą umalowaną głową, życie jest nieidealnem i niewesołym kołem nieeuklidesowej geometrii, podług której niema idealnego koła, a tylko wielokąt. Życie jest względną teorią szukania idealnych kół i kółeczek, szczęścia i ideałów pod zawistnem okiem augurów, w warunkach ostrokańczych, w trójkacie trzech prostych linii, z których każda

staje się labiryntem, w płatawie wodorostów, narostów, dzikich nowotworów, osmiornic i rekinów.

Życie „szalenie” wesoła rzecz, przyjacielu, zależy tylko z jakiego kąta nań patrzeć. Kątów jest czasem więcej niż cztery, sposobności więcej niż co godzina i oczu więcej niż dwoje, przeto można wyłować i utrwalić wiele zabawnych ekiwoków, które nie byłyby zabawne, gdyby nie były ogromnie przez to smutne. Wojna też jest smutna, że nie może wytrwać w funebrycznym tonie, jak przystało, zważywszy koszty i doświadczenia, uczciwszy pamięć zapomnianego żołnierza, ale nie może się przystojnie powstrzymać, by nie wybuchnąć wielkim śmiechem ze wszystkiego, co widziała z każdego kąta swego widzenia, po wszystkich kątach bytowania, bagnach marazmu i ściekach węgotacji, we wszystkich zakamarkach i zaułkach niedoli ludzkiej, we wszystkich teorjach bólu, na wszystkich złotych drzewach życia o niejadalnych owocach. Mefistofel kłamał, jak zawsze, mówiąc o szarości teorji i złocie życia: jedno i drugie ma tą samą szarość i nieużyteczność. Złotem jest tylko złoto, a życie nie jest niem ani w teorji ani w praktyce, chociaż mogłoby być, ale od tego jest teorja, by tego nie było i od tego praktyka, by owa niemożliwość utrzymała się jako murowany kanon wesołości ze spostrzeżeń i radości z ciężkich przeżyć.

Feldrau ist jede Theorie,—każda zasada wojny ma zielonkawą kolor haki, tendencję do zlania się z przyrodą, imituje gołębią naiwność (pigeon bleu) sfer podniebnych, dążność do niewidzialności i fikcji. Każda teorja zwady cuchnie gazem i asafetydą, jest tak mądrą jak kula w płocie i tak straszną, jak pocisk w otwartem sercu, ale zato arcyzielonem i ogromnie wesołym jest złote drzewo życia z kulą w głowie.

Tak, lieber Freund, grau ist... des Lebens goldener Baum. Wiele traci, komu to koniecznie potrzebne, ale stracić dzień i olej, wygraną wojnę i z tego korzyści, stracić współników i nie pozyskać wrogów, stracić słońce, by usiąść w cieniu śmierci, stracić pokój, by pozyskać wojnę,—to stanowczo zawiele jak na jeden raz i na jednego kiepskiego idjotę. Zostaje ci powiedziec słowami przegranych możliwości: broń mnie Boże od współników, bo od wrogów sam się obronię. Lepsza najgorsza wojna od niewczesnego pokoju. Lepiej wcale nie wojować niż zawierać pokój. Lepiej być zwyciężonym niż zwyciężyć ze stratą tylu pieniędzy i takiego pierwszorzędnego ducha. Lepiej

czyścić buty pobitych wrogów, niż słuchać kapitalnych rad jednego współnika i pogardliwych wymówek drugiego, niż pytać uniżenie o zdrowie żony i dzieci u trzeciego i być natarczywie interpelowanym przez czwartego o uregulowanie rachunku, kiedy u mnie samego chora żona i czworo drobnych dzieci. Chamy są ludzie, ot co! Z takimi się sojuszyć, z takimi wojować, a co gorsza zawierać pokój, to mój panie lepiej... Ale jak się raz zaczęło, trzeba raz wreszcie kończyć i dziesiątemu zakazać, by się skuśił jedynasty i sequentes.

Lepiej być zwyciężonym, niż zwyciężyć upadłością ducha i likwidacją ideałów. Opłakańszy Pirrus zwycięzca, niż uciekające tłumy wroga. Gorzej się czują poległe legiony Warrusa, niż hyeny włóczące się po pobojowisku. Smutniej brzmią salwy, dzwony i okrzyki tryumfu niż płacz matki nad mogiłą nieznanego żołnierza. Ale gorsza stokroć rozpacz zwycięzcy, czyniącego bilans niepowetowanych strat, budzącego zupełną świadomość wywiedzenia siebie w pole, oszukania się na całej długiej jak powojenna dola linii, po wszystkich drogach i opłotkach rozpoczynającego się rewanzu. Resztki zginą w międzynarodowych reweransach, komplementach, przetargach i machinacjach z tysiącem wyjść i wejść. Resztki zjedzą liczne suto zastawione stoły niekończących się festynów, mów, konferencji i przyjęć nieproszonych, ale zato niemiłych gości.

Pozostaną tylko Grotgerowskie trofea, rzewne i straszne pamiątki ojców naszych i naszej tułaczki na różny Sybir, do katorgi powojennego bytu w kibitkach przemocy i chamskiego urągania, zostaną wieczne fotografie na kliszy wszechogarniającej pamięci najazdów żołdackich i bestjalstwa soldateski, sumiennych, a bezwstydných rewizji i rekwizycji, ryku zarzynanego bydła, łomotu wywalanych drzwi, mężnego rozstrzelania na oczach najdroższych, straszego gwałtu jedynej istoty pod wtór krzyku, od którego bieleje włos, w rzeniach śmiechu, od którego ziemia powinna się rozstąpić, i niebo się zwalić. Zostaną tylko ściennie nastrojowe obrazki przedstawiające pustynię milczenia, dogasające zgłiszczą, konanie szczęścia, obłąkane oczy kobiece i echo kwilenia opuszczonego dziecka. Pozostanie tylko samotna kolumna zwycięstwa, wymęczony pomnik, smutny grób nieznanego żołnierza, wołający ratunku, tonący w stercie nieużytecznych i szybko wędnących wieńców, okropnych w swem bezdusznem pięknie, rozpaczliwie nic nie mówiących odznak i oznak wątpliwego

i banalnego współczucia, zbędnego żalu. Omlot pustej słomy, trzask jałowych słów, wianie sztandarów i korne schylenie głów... Trzepie i niesie w pustą dal przyszłości sierocy wiatr, który już tyle widział w swem wietrznem życiu podobnych słów i scen, że przelatuje lekkomyślnie nad wieczną tragifarsą ludzką, do swych wiadomych spraw posiewu nowej burzy, by z niej zebrać też przeobfite nowe żniwo takich samych słów, identycznych scen i żalów, podobnego zawodu i cierpienia i odwiecznie podobnych do siebie mógł, mógł bez końca.

Polemos propater.

Walczą na przestrzeni wieków nie tylko obce sobie narody, ale księstwa, miasta, miasteczka, wsie, pojedyncze domy i rodziny. Genua z Pizą, Wenecja z Genuą. Neapol z Rzymem, Francja z Medycuszem, Monteccki z Capulettim, i tak prawie w każdym narodzie. Walki te przypominają zacierzewienie i bój do końca w walkach kogutów, niemniej jednak pierze leci i to przeważnie cudze, krew się leje, nieszczęścia się mnożą. Rzecz w tem. by się utrzymać za wszelką cenę w bratniej nienawiści przez całe pokolenia i wieki. Jeszcze Horacy widział wsie i lasy obrócone w pustynię, jeszcze Lukan zapytywał: *an vivere tanti est?* a Cicero tłumaczył, że wszystko jedno, czem się zwalcza wroga, zdradą czy cnotą. Nieomal o każdym narodzie powtórzyć można, co Livjusz powiedział... o Niemcach: *ferox gens, nullam vitam rati sine armis esse*. Kiedy Ateny ze Spartą, odległe od siebie jak Rypin od Kozichbrodów i także pokrewne do wojowały się do zupełnego wyczerpania, kiedy długotrwałe wojny z sąsiadami dorznęły ich zupełnie, wtedy Rzym, spadkobierca wszystkich wyczerpanych, zagarnął ich wraz z całą Europą i wschodem. Rzymskie imperjum trzymało się naprzód na prawie, kiedy tego zabrakło, oparło się na mieczu, kiedy miecz się zagłębił w żywe ciało monarchji, zemdlało ono na rękach pretorjanów, cucone było prześladowaniem chrześcijan, korupcją optymatów, a w końcu zginęło od lepszej Saraceńskiej stali. Rzymskie prawo pozostało. Na niem spoczęły nasze prawa.

Caesar napisał *Commentarii de bello Gallico*, ale komentarze zbyt ciche: chcą pogmatwać rzecz, ale ją przejaskrawiają.

Veni, vidi, vici. Przyszedłem, zobaczyłem i byłem pobity. Główna troska, by dojść i zobaczyć, zwycięstwo samo idzie do rąk temu, kto ma tęgie nogi, wzrok drapieżnika, nienasycone gardło i serce zdobywcy. Apetyt się zwiększa bardziej od chodzenia, wyglądanania, węszenia niż od jedzenia. Hannibal nie przeszedł Alp, raczej zostawił w nich słonie i tabor i był pobity, Napoleon przeszedł, zostawił za sobą i przed sobą szerokie drogi i zwyciężył, ale szedł w bezdroża Rosji bez myśli i planu i nie wiedział potem którędy uciekać, jakimi brodami i lasami. Patrzał na piramidy, ale piramidy nie widziały go, nie chciał patrzeć na morza przestrzeni, ale te go zobaczyły, dopilnowały i pochłoneły. Rzecz ważna na wojnie lotność, rachunek, bacność i asekuracja od wypadku na wypadek wojny. Trudno wszystko przewidzieć i niepodobno się powstrzymać od zlekceważenia wypadku. Ten ostatni ma dobrą pamięć, przewiduje lekceważenie siebie i mści się za nieznajomość prawa falowań, powrotów, serji i etapów. Nic nie stoi na miejscu, a wszystko leci od wypadku do wypadku, od potęgi do nicości, od zwycięstwa do porażki. Kiedy Rzymianie zaczęli się objuczać tryumfem, arkami, fanfara i łupami, byli pobici. Ci sami, których oni bili, nauczyli się od nich, i bili ich tym samym nawrotem, aż pobił ich kto inny, który swoją kolejką przez innych był dokładnie zniweczony. Sita pamięci wojennej są grube, pozostają na nich Grünwaldy, Kircholmy i Radzyminy, wszystko inne wycieka; doświadczenie ma jeszcze słabszą pamięć dziecka i rozum starej baby. Ale mniejsza o pamięć i doświadczenie, gdzie odgrywa rolę tylko mięsień ciała i stali. Ważne, by się bić partjami, serjami, okresami, latami przez tysiąclecia, między narodami, we wszystkich krajach i częściach świata. Europa podbiła Azję, ale Azja przez długie wieki biła Europę, i kto wie, czy nie pobiła jej raz jeszcze, ale gruntownie.

Zwalczali, wycinali chrześcijan kolejno wszyscy—swoi i obcy: Rzymianie, Gotowie, Saraceni, Mongołowie, Tatarzy, Turcy, Mahometanie, Atylla, Dzingischan, Timurbeg-Tamerlan, Amurath, i też Pomorzanie, Liwończycy, Prusacy, Litwini, Słowianie, Duńczycy, Madziarowie,—kto tylko chciał. Były to początki walk religijnych od pierwszych wieków prześladowania do walk herezji i reformacji. Żadna idea nie była tak ostro zwalczana i tak obficie obłana krwią. Żadna religja nie była tak nieubłagana i z taką nienawiścią tropiona, prześladowana i zabijana. Tylko

chrześcijanin bywał męczennikiem, i tylko prorok kamienowany. „Od czasów krwi Abła sprawiedliwego do krwi syna Borachjaszowego, zabitego między przedsionkiem i ołtarzem“ mordują, kamienują, plują i szkalują. Krew chrześcijan była nasieniem wiary, tak też wyjątkowa nienawiść wiary jest jednym z dowodów jej prawdziwości. Pierwszą rzeczą tępić inaczej myślących i wierzących, potem się pomyśli za co? I to nie byle jak: podobno przez 300 lat zginęło kilka milionów chrześcijan, a żyło pod pręgierzem dziesięć razy więcej. Potem manichejczycy, donatyści, arjanie, reformiści, kalwini, husyci, anglikanie, dysydenci, puritanie, schizmatycy gnębili, palili, zabijali ortodoksalnych, ci nie raz odpłacali się pięknem za nadobne i nieraz pierwsi zaczęli prześladowanie inaczej wierzących. 30-letnia wojna była prowadzona z niesłychaną zafarbowością pod hasłem wyznania w jednym narodzie, chwalcym jednego Boga. Za 7 wojen krzyżowych prowadzonych przez 200 lat pod znakiem krzyża zapłacono krwią najlepszego rycerstwa, ruiną i morem. Wojenne zakony krzyżowe kawalerzystów i Jana Jerozolim, hospitalariuszów, templariuszów, rycerzy teutońskich w Imię boże paliły, zabijały, rabowały. Mongołowie robili to samo przez długie, długie wieki. Mówią oni, że wypłacają należność i mszczą się za krzywdy. Do dziś każdy Arab nosi karabin, a Turcy na przestrzeni ośmiu wieków skończyli ostatnią wojnę rok temu, by rozpocząć w przyszłym nową wojnę, bo nie było lata pańskiego, w którymby oni o coś nie wojowali, a wszak to cichy i z natury łagodny naród.

Wojują wszyscy przeciw wszystkim o wszystko. Namniejszy pozór, najgłupsza racja zdolne są rozentuzjazmować tłumy i popędzić je na rzeź. Każdy król był wielkim, kiedy najwięcej wojował i najsukuteczniej tępił wrogów. Kto nie podnosił oręża w czasie swego choćby krótkiego panowania, jak np. Aleksander III, o tym historia pogardliwie milczy, choć taki naprawdę jest wielkim, choćby dlatego, że rzadkim. Rozkwit ekonomiczny Rosji i Polski zawdzięczać trzeba kilku latom pokoju. Aleksander III był wielkim, choć może i małym, a w każdym razie godnym lepszego konia, niż takiego z jakiego spadł i na jakiego wsadziła go potem historia i twórca pomnika. Pozatem każdy król mówił z emfazą zwłaszcza w epoce oświecenia i największych wojen: *l'empire c'est la paix*, — jak Napoleon III lub *l'etat c'est moi*, jak Ludwik XIV. Pokój i ja to to samo, ja i wojna, pokój i wojna — pojęcie też identyczne. Zechcę, będzie wojna,

nacisnę odpowiedni pedał, i rykną ogniem i płaczem narody ziemi. A król zawsze chce, jako rzeczy naturalnych, przedmiotów pierwszej potrzeby, bo dla utrzymania pokoju, imperium, rządu, cesarza i króla potrzebne są wojny. Innych środków niema i nie było.

A la guerre, comme a la guerre: pokój djabli wzięli, rządy stękają i jęczą, jak rodzący pokój, państwa trzeszczą, na imperjum najechała republika, w Rzplitej marzą o królu, na widok cara wpadają w szal niszczenia, inni znowu mają pokojowego świeczka na punkcie króla świeczka. Mury Bastylji, Aranżuezu i Pietropawłówki pękają pod naporem rewolucji, w Tuilleries zasiada sankiulot, i naturalnie podpisuje dekret zniszczenia tego, w czym sam siedzi. Potem, jak to na wojnie, siada na tronie skromny porucznik artylerji, potem pierwszy konsul, potem biorą miarę na cesarską togę z najpiękniejszego posągu „króla słońca”. W zimowym pałacu Petersburga, Carskiego sioła i Gaczniny gdzie przyjmowano królów i pierwszych konsułów, wieszano ukradzione polskie arrasy, dziś z adamaszku mebli robi sobie onuce towarzyszy komunardów i spółdzielca wylanej krwi. Na Kremlu odbywała się koronacja carów przez 300 lat, dziś tam sprzedają żydzi jeszcze niepokradzione koronne insygnia. Jak to na wojnie.

Imperium jest grą, grubą grą o koronę i zimowe pałace, ale większą i grubszą grą wojna. Tam można stracić koronę wraz z głową, Tuilleries i Kreml wraz z dożywotnią inwalidzką rentą. A jednak amatorów niebrak, jak świadczy Tacyt, Titus Livius, Mommsen i każdy kto tylko dotknął końcem pióra cuchnącego trupa historii, co miała być mistrzynią życia, a stała się nauczycielką śmierci i przełożoną międzynarodowego Biedlamu. Bo historia to nieskończenie długa litanja wojen, walk, podbojów, gwałtów, podziałów, rozbiorów, prześladowań t. j. to właśnie, co stanowi życie i cel królestwa, republiki i każdej formy rządu, który chce celowo i chlubnie wywiązać się ze swego zadania. W międzyczasie pomiędzy jedną wojną i przygotowaniem się do drugiej, trzeba się wprawiać i nie wychodzić z wprawy, uprawiając wojnę domową, partyjną, społeczną i religijną, tępiąc się zawzięcie i prześladowując srodze. Miesiące się liczą na przemiany rządów, lata się mierzą datami wojen i podbojów. Dzień, w którym kogoś nie ścięto, nie osmarowano, nie przeszyto strzałami, choćby z gęsich piór, należy do straconych,

król, który nie szedł na wojnę z hałasem broni i harmiderem dekoracji, jest fujarą, a rząd, któryby nie podjudził swego króla lub narodu na sąsiada, bywał najgorszym. O zdobyczach kultury, o postępie cywilizacji pisze się *petitem* na marginesie wojny, bo też są one pobocznym jej produktem, czemś, co samo się zrobiło bez pieniędzy, bez poparcia i forsowania, bez łask dworu i uśmiechu króla. Jedna tylko sztuka, jako dekoratywność i umilenie miłego życia, była i jest w niejakich faworach, bo sztuka jest bliską krewną sztuczności życia dworu, króla, parlamentu i rządu, jest miłą i z tego względu, że sztuką jest sama wojna, jej sposób prowadzenia, rodzaj mordowania i metoda podejścia. Stoi to wszystko na sztucznych i szczudłach, aż runie. Bo nie sztuka stać sztucznie, ale sztuka żyć z odkrytymi kartami, mapami, kieszeniami, oknami, sercem i duszą. Tak żyje tylko marzyciel, ale marnie: nie daj Boże urodzić się komu marzycielem z pustymi kieszeniami, z wykradzionym przez otwarte okna dostatkami, z wywianem sercem, w którym sobie zrobił ustęp najbliższy bliźni, ciężko żyć z zaśmieconą duszą, przez którą przeszedł bataljon rzeczywistości. Wszyscy żyją wojną, z wojny i dla niej. Pacyfista i marzyciel pójdą na pierwszy ogień i naturalnie zginą, jak wszystko co wojnie wrogie.

Motor wojny.

Strach—to premier ministrów życia, to wielki mistrz łoży, co się mieści pod łóżkiem. Mówią, że współzawodnictwo i ciękawość są dźwignią postępu. Możliwe, ale duszą i ciałem postępu jest strach. Najodważniejszym szaleństwem bywa obłądny strach. Przejrzystość strachu tak wielka, że jej nie można niczem zamaskować, nawet odwagą. Zresztą, strach nie ma czasu na wkładanie maski, i nie włoży jej z powodu drżenia rąk. Żyć na wojnie to ilustrowany przezroczami pokaz strachu: czem jest, czem być może, i co z tego bywa. Nogi są papierowe, kolana niby fabryczne wiązadła na zawrotnej wysokości, w głowie zamęt i skłonność do upadku. Leżeć i nie ruszać się, i niech będzie, co ma być. Ruch zdradą strachu, jego orężem przyczać się, wtulić, zapaść w ziemię, skryć się z oczu. Kryjówka za wszelką cenę... Już zamknąwszy oczy, czuje się bezpiecznym.

Strach ma wielkie oczy, ale często nie ma ich wcale, jest niewidomy od urodzenia. Boi się samej myśli, że może przyjść

taka chwila, kiedy nie trzeba będzie bać się. Są specjaliści od strachu, pełne drżenia zależnione istoty, o latających białkach oczu. Do zwykłych obaw strach dołącza jeszcze jeden lęk, by nie poznano, że się boi. Strach się zabezpiecza, prorokuje, widzi w barwach ponurych, przewiduje najgorsze. Strach przesuwą wciąż pieniądze z bezpiecznego miejsca w niebezpieczne, tarmosi rodzinę, męczy kufry, śpi z jednym okiem otwartym, z rewolwerem pod poduszką i palcem na cynglu.

Strach ma jakąś logikę, choć niewielką, ale panika jest bezmyślna. Strach się boi, panika nie. Strach ma jednak głowę, ale panika już ją zgubiła. A człowiek bez głowy jest odważny i gotowy na szaleństwo, bo niema nic do stracenia. W strachu się popełnia same głupstwa, w panice nie. Jest ona jasnowidzeniem nawspak, czyta jasno w ciemności i ciemno jej się robi w oczach, kiedy widzi rzeczy jasne jak słońce. Tylko tłum w panice jest stadem bydła, pędem wracającym do palącej się obory. Trzeba mu wysmarować gębę własnym nawozem, żeby wyprowadzić z ognia. Jest to jedyny argument na panikę. Tłum w panice jest szaleńszy od wściekłego byka i kota. Tratuje sam siebie i tonie w łodzi, w której mógłby się uratować. Rewolwer skierowany w łeb paniki jest dlań żadnym argumentem, strzał jeszcze mniejszym. Jej się zdaje, że to sygnał do ucieczki, ostatnia deska płonącego mostu, ostatnia łódź, w której może się zmieścić tysiąc szalonych. Panika jest ważkim argumentem, jak wielocennem jest życie i jak niepożądaną śmierć.

O gdybyż panika prowadziła i kierowała wojną, jakby wielkie były zdobycze i straty wojny. Ale prowadzi ją strach przed beznadziejnością, strach nieziszczonych oczekiwań, i wtedy to straty przechodzą wszelkie oczekiwania, a zdobycze są beznadziejne. Głównym dostawcą strachu jest wojna, a wojny strach. Wojna jest paniczną ucieczką nie przed śmiercią, ale przed życiem, czyli tworzy się absurd logiczny i psychologiczny. Boi się życia, trzymając się kurczowo śmierci. „Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę“. Myśli, że nie umrze, żyjąc, — że żyć będzie, umierając, że nie umrze, kiedy innych uśmierci.

Na wojnę gna nie obowiązek i nie strach, ale nadzieja, że strachy na lachy, że się jakoś wykręci. Gdyby wytrącono tę nadzieję, nie byłoby wojny. Gdyby ludzie szli z obowiązku, a bez przymusu, też nie byłoby wojny. Tu obowiązek niezabijania święciłby swój pełny tryumf. Ale przymus oparty na strachu jest

mocniejszą sprężyną wojny niż sam strach. Wpierw idź, a potem drżij. Drzeć nie zabrania się, ale iść nakazano. Drzeć można każdego dnia aż do śmierci, ale iść należy raz jeden, choćby potem ponieśli. Do wojny człowiek nie może się przyzwyczaić, bo żyje jeden raz i jeden raz idzie na śmierć, ale do drżenia, lęku i śmierci, do jej widoków i powodzeń szybko się przyzwyczaja. Tu leży zwycięstwo idei wojny i podłej zasady jej psychopatologii.

Przymus czyni wojnę, a podpira ją strach. Przymus i wojna to pojęcia zbliżone. Można jeszcze zrozumieć, choć z trudem, mus pozbawienia siebie życia, ale nikt jeszcze nie zrozumiał, jak można być zmuszonym dać się pozbawić życia. Ale na wojnie i w strachu można wszystko zrobić: zabić się dobrowolnie ale przymuszenie, dać się zabić i innych zabić. Strach i wojna mają taką samą logikę jak zabójstwo. Wojna tyle warta co strach i rozumuje tak samo. Łącznikiem między strachem i wojną jest pewność, że wszystko będzie dobrze: śmierć innym, sobie życie. Gdyby nie było nadziei, nie byłoby życia, życie byłoby śmiercią. Gdyby nie było nadziei, nie byłoby strachu, nie byłoby wojny. Strach wrogiem życia, a nadzieja wrogiem śmierci. Strach i nadzieja wzajem się nienawidzą, podobnie jak życie i śmierć, które prócz tego boją się siebie nawzajem, by nadzieje nie sprawdziły się, i żyją nadzieją, że strach ma rację i wszelkie szanse sprawdzenia się. Nadzieja duszą strachu i psychologią wojny. Nadzieja siłą życia i podłożem cierpliwości, rezygnacji i spokoju. Tem się tłumaczy, dlaczego i jak mogą iść ludzie na bagnety i kule, w otwarte czeluście piekła i w ramiona śmierci.

Na wojnie człowiek jest więcej pijany nadzieją, niż w zwykłym życiu, w obliczu śmierci ma się większą nadzieję życia niż w pełni sił. Można wojować tylko w stanie nietrzeźwym upojonym szaleń i nadzieją. Każde pijaństwo jest niebezpieczne i zgubne. W pijaństwie się szuka mocy i szczęścia. Ze zbytku ufności wyziera zarozumiałość i zawód. Alkohol, nadzieja i wojna zawsze zawodzą. Szalony, kto powierzył im swoje losy.

Modlitwa uciszeniem strachu, religja daje rezygnację. Ten, co się modli i jest w stanie rozumować, już się pozbył strachu, przynajmniej w jego odgórnjej części. Na wojnie mało się modlą, bo wypadałoby długo się modlić, a potem rozejść się wszyst-

kim w spokoju do domu. Ale tego nigdy nie było i nie będzie, jak nie bywała rzecz, by wojna była pobożną, t.j. podług myśli bożej, choć taką udaje.

Nie wstydzi się modlić niebezpieczeństwo na morzu, ale gdyby trwało ono bardzo długo, człowiek zawstydziłby się swej zdrady wobec nadziei, bo ona się nie modli, a tembardziej nie modli się iluzoryczna pewność wojny.

Gdybyśmy nie wiedzieli, że Chrystus jest Bogiem, i gdyby nie zostawił żadnego innego słowa prócz o nieśmiertelności duszy, której straty i nadzieje mają większą cenę niż cały świat, to tylko z tego możnaby poznać, że mówi Bóg. W takim razie straty jednego życia, którego bilans sprawdza dusza, nie dałyby się okupić żadnymi korzyściami wojny i nie dałyby się porównać z jej nieobliczalnymi stratami. Ale wojna umiała wmówić, że śmierć przyjęta z ręki wroga nie jest stratą lecz zyskiem, właśnie owem pozyskaniem i odnalezieniem, jakie obiecał Chrystus za znienawidzenie złego życia. A na wojnie podług jej ideologii nienawiść do życia, zwłaszcza do życia wrogów i pogarda śmierci zwłaszcza cudzej, święcą swój święty tryumf, i promienieje cnotliwy obowiązek włożony na ramiona chrześcijanina przez pierwszego naprawdę pacyfistę Chrystusa Pana.

M i ł o ś ć .

Inter arma silent musae. Miłość, jako inspiracja wyższego rzędu, powinna milczeć podczas wojny, jak milczą wtedy prawa i sumienie. Co ma ona do powiedzenia wśród grzmotów salw, kiedy nie słyszą nawet rozkazów oficerów i dowodów sumienia, kiedy się nie rozpoznaje w dymie prawej ręki od lewej, wroga od swoich, kiedy uczucie zamienia się w strach, poświęcenie w zażarty egoizm, a sama miłość w gwałt i nienawiść.

A jednak miłość nie umiera nawet na wojnie: marny jej żywot, ale istnieje. Tętni gdzieś w zapadłej komóreczce, bije choćby w martwej tekturze fotografii na sercu, jaką niemal każdy z wojujących nosi skrzętnie schowaną, często oglądaną, obficie skropioną łzami, okadzoną westchnieniem i oczyszczoną przez miłość. Rozłłka w czasie i przestrzeni jest wielkim dystylatorem i próbką miłości. Na wojnie miłość odnosi swój częściowy tryumf i gromadną porażkę. Gdyby każdy wróg nosił na

swem sercu wyobrażalną odbitkę rodziny swego wroga, który ją w ten sam sposób i takież łzami oplakuje, — wojna byłaby niemożliwa. Ale „nie czyn drugiemu...” jest jedną z tych przyjemnych prawd, których nikt nie uznaje, zwłaszcza na wojnie. Tam człowiek nosi w sobie zamiast tliwości dla rodzin wszechludzkich i wzajemnego dobroczynienia pierwotne instynkty drapieżnika pomimo wynalazku fotografii i prochu. Ma on tę okropną logikę Nietschego: pereat mundus, fiam! Niech wszystkie rodziny zginą, byleby moja prosperowała, niech świat zginie, byleby żył. Szubieniczna nienawiść, bezwzględna złość szaleją w potwornej duszy. Noszący fotografię na sercu i rzewność dla swej rodziny gwałci cudze szczęście, morduje narzeczonych i mężów. Sam narzeczony „miłujący nad życie” spokojnie strzela do braci swej ulubienicy, do synów jednej ziemi i dzieci jednego Boga.

Tak właśnie i w ten sam sposób traktuje braci i kuzynów cudnej Julietty sam arcywzór miłości i poświęcenia dla niej życia, Romeo, jeden z przeciwnego obozu dwóch poważnionych rodów. Mus, wyższy nakaz i najświętszy obowiązek wypędził w pole Montecchich i Capulettich i kazał im walczyć ze sobą na życie i śmierć przez długie lata, może stulecia. Każdy z Capulettich to część Julietty, jej piękna dusza śpiewa w każdej ochryplej gardzieli. Tibaldo, osobisty wróg Romea, poległy z jego ręki, może skrytobójczej, może ofiara podłej vendetty, jest kuzynem Julji. Ale sprawa Montecchich to własna sprawa Romea, to jego honor i cześć mężczyzny i rycerza, ich wygrana jego zyskiem ich porażka jego stratą... choćby stratą Julietty.

Są rzeczy silniejsze od miłości. Salomon powiedział, że miłość jest mocna jak śmierć i piekło. Ale silniejszą od śmierci i piekła nienawiść. Ona silniejszą od miłości. W ponurych płomieniach piekła nienawiści spala się miłość, jak stos z najczystszych uczuć. Montecchi zwyciężył Romea. Wojna zwyciężyła w nim miłość. W okropnych zmaganiach ciał zginął duch. W burzy wojennych wypadków od pioruna nienawiści spalił się dom szczęścia, w którym płonęła wieczysta lampa miłości, zdeptano różany ogródek podlewany łzami z cudnych oczu, pielęgnowany westchnieniem z pod ciężkiego kamienia złej doli, wycięto wiśniowy sad, co płatkami jak śniegiem okrywał złe czyny człowieka i lśnił karmazynem i czernią jagód, urodą dorównujących samej pani. Przekradał się tam Romeo, powierzał

tu swe bóle i nadzieje, śpiewał swą serenadę najgłębszych uczuć, swe rondo tragicznej miłości, co wkółko będzie obiegało ludzkość i jej tragiczne dzieje. Tu „kawaler srebrnej róży” sadził swe cudne kwiaty, tu „rycerz bez strachu i skazy” pobożnie dotykał ich płatków wśród śmiechu gawiedzi, tu poeta tworzył trwałe rymy o szczęściu, co miało być a nie było, tu artysta rzeźbił i przemisternie cyzelował swoje złote cacka, piękne jak sonet, kruche jak szczęście i nieśmiertelne jak miłość. Ale miłość na ziemi, mówi Pieśń nad pieśniami, zdobią pochodnie ognia i płomieni. Nieraz miłość ma wszystkie cechy i podobieństwa pożaru. Ze zgłiszcz domu, w którym się narodziło wielkie misterjum, i płonął święty znicz, wydobyto dwa zwęglone trupy, dwa święte uczucia, co miały trwać wiecznie a trwały tak krótko, jak cztery akty odegrane i odśpiewane na deskach przemijalności wszystkiego.

„Straszne szczegóły skazanej na śmierć miłości będą przedstawione na naszej scenie w ciągu dwóch godzin. Jeżeli łaska wa publiczność będzie dość cierpliwa i wyrozumiała”... — mówi Szekspir w prologu do dramatu. Zaledwie dwie godziny trwają szczegóły miłości, które nikogo nie obchodzą, które można oglądać spokojnie tylko jako widowisko, uzbrowiwszy się w cierpliwość i wyrozumiałość. Pozatem miłość się gasi z wielkiej sikawki plotki, z największego węża złości, depcze się ją buciorami, jak chłop wyklute jaskółeczki, by mu nie szpeciły chałupy i nie mąciły pokoju. Spaliło się, rozwiało się, trawą porosło. Został tylko banalny grobowiec, upstrzony napisami banalnych jak mu chy turystów, ozdobiony wizerunkiem ptasich serduszek, wyrzeźbionych wszędzie pracowitemi rękami pustych dusz, które jednak miłość zdolna jest napęlnić i choć nie na dłużej, jak trwa miłosny duet z opery, potrafi przeistoczyć kukielkę w anioła.

Kula nie oszczędza fotografii ani serca. Karabin maszynowy przyfastryguje i połączy je, jak maszyna do szycia, równym ściegiem w zapomnieniu śmierci. Miłość otrzyma krótką urzędową wzmiankę, co przeszywa ją z tą samą siłą, jak serce Romea, jak serce Julji, bijące w grobowcu szczęściem i nadzieją, że się wszystko dobrze ułoży, ale na straszną wieść o śmierci męża, na ten raz już naprawdę rozpękłe i martwe. Dziesięć milionów i więcej podobnych dramatów odgrywa się na polu walki, w the-
atrum mundi, na deskach stołów chirurgicznych, na deskach trumny, która nawet nie każdemu przypadnie w zaszczycie. Epi-

logiem każdego dramatu śmierć, zdobi ją żelazny krzyż zasługi i drewniany odpocznienia, z napisem, który czas zetrze doszczętnie: hic jacet amor.

Nie z wojny, nie z jej racji i nie dla niej zapaliły się dwie świece przed ołtarzem miłości w obu wrogich sobie obozach. Wprawdzie ciągle od niepamiętnych lat palą się tam wieczyste lampy przed obrazem Madonny, gwoli uproszenia zwycięstwa, pokarania i pohańbienia wroga,—ale taka modlitwa i taki ogieniaszek nikogo nigdy nie połączyły. A życie szło, trwała też wojna. Niejeden już promyczek życia zgasał, niejedną potworną scenę widziało słodkie oblicze Madonny, wiele wzniosłych uczuć i szlachetnych pomysłów zginęło w bratobójczej walce, niejedno pokolenie w niej wyrosło i zeszło, kwitło i zwiędło, a nienawiść wciąż trwała.

Ale pewnego razu cudem bożym, może na prośby niewieście, padło ziarenko na kamień serca, wypuściło blade pióreczko i szypułkę, i oto zawisł cienki powojek w szczelinie twardego muru nieprzystępnej fortecy. Rósł miotany wiatrem i oplatał powoli mniej straszne młode serca, aż przyozdobił ołtarz miłości. Ale od tego, że rósł powój ledwo tolerowany przez kamień, forteca nie przestawała istnieć. Młodzi się kochali na zabój, a rody ich możne i liczne, zestarzałe i wyniszczone w walce, nienawidziły się dalej na zabój.

Tak się stworzył dramat i wielka prawda, że miłość silniejsza od nienawiści, ale droga do zwycięstwa prowadzi przez śmierć. Miłość silniejsza od śmierci, ale dopiero po śmierci, Zjawiała się na deskach scenicznych „An excellent conceited and lamentable story“ z nagłówkiem w formie epigrafu: aut nunc aut nunquam. Albo teraz miłość zwycięży, albo już nigdy,—ale wtedy to już koniec wojnie, koniec samym wojującym: wyróżną się kiedyś w szale oblędu do ostatniego z ostatnich. Stał się tedy dylemat, tak często stawiany przed oczyma ludzkimi, jak stożkowy pomnik z polnego kamienia na grobie wielkiej rodziny poległych w obronie swego rodu czy tam narodu Capuletich. Na szczęście dla dramatu ludzkości, może tylko dla teatru, któryby inaczej stracił wysokiej wartości bajkę i nie oglądałby lamentów i gawiedzi tworzących się koło każdej opowieści, każdego nieprzewidzianego zdarzenia, nieszczęśliwego wypadku i koło wszystkich wątków tragedji, na szczęście miłość powiedziała i dowiodła prawdy swych słów: hic et nunc et semper

vincit amor. Ale przebóg, za jaką ceną!—za cenę samej miłości, za cenę życia. Zapłacono za nią podwójną śmiercią Julji, zabójstwem jej kuzyna i śmiercią Romeo. Okropna cena i straszna miłość! Nie lepiej to było wcale się nigdy nie spotkać dwum biegunom jednej elektrycznej siły, nie lepiej było patrzeć sobie w oczy z nienawiścią, ciskać piorunami gniewu i pluć w nie obelgą i wzgardą, niż rozbłysnąć światłem, przeobrazić się cudem i skonać, jak kona zachód miłości i rozpoczyna się noc śmierci. Ale nie! tego nie chce i nie może przyjąć sens życia i morał dramatu. Niech raczej zginą oblubieńcy, byle trwały życie i miłość. Gdyby zostali przy życiu, nienawiść kwitłaby dalej i zdusiłaby miłość, życie i samą ich rację. Wszystko jedno zostałby trup, choćby żywy, jakich pełno w życiu i literaturze. Do zgody nigdyby nie przyszło, nie powstałby dramat, nie byłoby grobowca i pielgrzymów do niego. Zginęli, ale miłość trwa. Na wojnie ginie więcej ludzi, nieraz może jeszcze głębiej rozumiejących życie i silniej kochających, na wojnie śmierć ma o wiele za wiele tryumfu i zdobyczy, ale z tego nie rodzi się miłość, a z głębokiej myśli i uczucia zabitego na wojnie pozostaje ta sama ilość węglowodanów, jak od nieczujących i nierozumiejących doniosłości myśli i wielkości uczucia. Możemyż narzekać i biadać my widzowie i komparsi, my nawykli do widoku rzezi, biorący udział w klęskach i spoglądający obojętnie na wielkie dramaty i okropne dzieje?

Na grobie małżonków odwiedzanym tłumnie przez kandydatki do zamążpójścia, bo chyba nie przez żony (wszyscy oni tacy: naprzód Romeo, a potem...), na wzniosłym grobie przy smutnym obrzędzie pogrzebu tragicznie zgasłych ofiar nienawiści, spotkały się dwa straszne i liczne rody, nienawidzące się od piętnastego pokolenia, nawet niewiedomo poco i dlaczego: racja utonęła w legendzie. Spojrzały sobie w czerwone od łez oczy, w których się czał ból, pokora i nieszczęście. Ręce się podniosły nie do głów ni miecza, ramiona się wyprostowały nie do cięcia,—i padły sobie na piersi dwa rody wielmożne, splecione w bratnim uścisku miłości i pokoju. Wnętrzem zatargał nie war wściekłości, lecz szloch głęboki, co piorunem wstąpił całę jestestwem, całęm rodem, miastem i ludzkością. Amor semper vincit.

Niestety, „ta wspaniała i oplakana historia“ zwycięstwa miłości ma miejsce w teatrze, czasem w życiu, choć rzadko

ale na wojnie jest ona zbyt cenną, szkodliwą i śmieszną, jak śmiesznym jest Siegfried idący dziś do ataku w archaicznej zbroi i z tekturowym mieczem, jak nienowoczesnym jest sentyment i żal w parowej rzeźni. Na wojnie giną, ale nie przebaczą, bo niewiedomo kto, komu, dlaczego i póco ma przebaczyć. Wojna bowiem jest nonsensem, jest zdaniem bez podmiotu i orzeczenia, mobilizacją pustych wyrazów i uszeregowaniem indywidualności w jeden zbity wał absurdu, w jeden kłak pakulów do szpuntowania. Racja nienawiści gubi się gdzieś w abstrakcji, zwada tkwi w legendzie, niechęć jest czysto książkowa, obraza teatralnie szfuczna i agitacyjnie podszycona, a przyczynę trzeba wyczytać w archiwum sztabu, zamkniętem na trzy spusty. Na wojnie jest oczywiście wróg, którego należy nienawidzić, zabić itd., ale niema samego obiektu, dla którego nie tylko warto, ale i trzeba poświęcić życie. Nikt nawet nie widział i nie zobaczy ani króla, którego wolę spełnia, ani wodza, którego ślepo słucha, choć mu nie wierzy, ani tego kawałka ziemi, dla którego się przelewa krew, ani tego złotego interesu, co się robi na wojnie, ani tych pieniędzy, które ktoś zarobi i zbierze z posiewu krwi. Jedno tylko każdy widzi i wie, że o ile nie zostanie zabity, będzie jadł i pił jak zawsze, i że to będzie gorsze, mniejsze, marniejsze, z większym trudem zdobyte i droższe, niepomiarne drogie, i że on i każdy z kombattantów, ich rodziny, dzieci i wnuki będą płacić podwójnie, potrójnie za każde kilo i litr, bo któż, jak nie konsument, uczestnik i bohater, ma płacić podatek na rzecz wojny i pokryć koszty zakończonej wojny. Umarłeś — twoje szczęście, żyjesz — płac za przyjemność wojowania, płac, żebyś mógł umrzeć na wojnie, jak każdy porządny człowiek i być pochowanym na koszt wojny.

„Życie za cara“ było galowem głupstwem wiernopoddanego, ale żeby nieść życie za wojnę, za jej byt, bogactwo, rozkosz i sławę, trzeba być szalonym. Szaleństwa wojnie nie zabraknie, ale się nie znajdzie w niej ani szczypty ludzkiego uczucia przebaczenia i uczciwości. Nigdy bowiem na wojnie nie bywało tak, żeby dwa narody, spotkawszy się w polu przy wielkim grobowcu swych synów, na olbrzymim cmentarzu, jakim jest cała ziemia, padły sobie w ramiona, połamałyby szable na kolanach bez ukrytej myśli, bez chęci wyzyskania sytuacji, i nie poprzysięgły uroczystie na pamięć poległych, że już więcej nigdy... przenigdy... Tak nam Panie Boże dopomóż! Będzie to

chyba na święty nigdy, kiedy dzieci przestaną należeć do rodziców, kiedy poraz drugi się podniesie wieko grobowca w Weronie, i wyjdzie stamtąd świetlista postać miłości. Tak będzie w dzień sądu, w godzinę zakończonych rachunków, w chwili śmierci nienawiści.

R a d j o

Wszystkie wynalazki rozumu i zdobyte wiedzy przede wszystkim są wynalezione i zdobyte dla wojny, jej służą, w niej żyją;—z resztek korzysta pokój. Aeroplan, auto i radio,—to potężne dźwigi przerzucające olbrzymie ciężary wojny na swoje plecy. Nawet radjofon, wynalazek bardziej uduchowiony niż muzyka i bardziej szlachetny niż słowo, stworzony i przeznaczony dla muzyki słowa i muzyki bez słów, został zarekwirowany całkowicie na rzecz wojny. W czasie pokoju radio ledwo się toleruje, w chwili wojny wszystkie aparaty do pieca. Hallo! wojna mówi! Jej pełne namaszczenia słowa, jej stentorowy głos największego szczekacza oblężonej Troi, przewyższa swą potęgą i doniosłością wszystkie głosy natury, łaski i serca. Jej wykład tak przejrzysty, że nawet kretyn rozumie potrzebę i odczuwa konieczność wojowania, i tak głęboki, że do dziś biedzą się, jak z tej studni dostać wody, i skąd zaczerpnąć powietrza dla schorzałych płuc? Jej muzyka brzmi uroczyściej niż finalne akordy „Śpiewaków norymberskich” lub „Zmierzchu bogów”. Jej soliści są lepiej płatni i milej widziani niż król belcanta. Jej poeci za życia mają pomnik, majątek i błogosławieństwo ziemi. Jej trubadur nie chodzi z lirą pod pachą od komina do komina, lecz jeździ autem i klepie króla po ramieniu. Każdy jej wizerunek i miljonowa reprodukcja mają cenę nędzy większości artystów i poetów, za którą to łączną mizerję nie dałoby się kupić jednego batalistycznego konia. Jej filozofja zaczyna się od słów optymizmu Leibniza: felicitas est laetitia durabilis. Rzeczy długotrwałe i trwałe budzą radość, a ta jest podstawą szczęśliwości. W przygotowaniu się i pogotowiu wojennem jest optymizm i spokój, w trwaniu wojny jest radość i upojenie zwycięstwa, w istocie wojny, w jej skutkach, w wyższym morale leży szczęście, dostępne coprawda, jak każde szczęście, tylko dla wybranych i jedynie zdolnych ogarnąć, zrozumieć i posiąść szczęście.

Radjo i aeroplan nie znają granic, są naprawdę międzyna-
rodowe i niejako międzyplanetarne. Mogłyby być wielkim środ-
kiem pokoju i łącznikiem ludzi, a są tylko rozrywką, handlem
i udogodnieniem. Dzięki radjo nastąpić może zbliżenie narodów
przy wspólnej serdecznej rozmowie, a nie nastąpi. Niema lep-
szego środka na gniew, kłótnie i przedwojenną gorączkę, jak
rozmówienie się logiczne, męskie i zwłaszcza serdeczne. W ci-
chej pogawędce każdy się robi miłszym, bliższym, swoim. Na
odległość głosu tępego rozkazu, na dystans wystrzału, poza sferą
życzliwości i zasięgiem binokli Zeissa już nie słyszać rozmowy
i nie widać rozmawiających i pragnących się rozmówić. Życzli-
wość się ulatnia z otwartej butelki wzgardy; zrozumienia nie
można znaleźć w rozumie żelaznej pięści i nie należy go szukać
w codziennym chlebie wydzierania włosów, wydziwiania i wyzy-
wania. Gniew naśladuje gipsowych mopsów, ujadających stale
i fachowo z mieszczańskiej komody, przykrytej serwetą z wy-
haftowaną sentencją, pożyczoną ad hoc z najwyższej apoteozy
pokoju, dziewiętej symfonji Bethowena. Zaiste, mieszczaństwo
ducha tak się nadaje do twórczości życia, jak gniew lub kanali-
zacyjna rura do dyrygowania symfoniczną orkiestrą. Synteza
i ideologia niezgody, racja popsujstwa i ohyda wojny tak świetnie
pasują do kultury jak serweta szydełkowa z inwokacją „An
der Freude“ do przykrycia mauzoleum i każdego przejawu ra-
dości. Wojna i pokój są tak podobne do siebie, jak rozżłosz-
czony mops do dziewiętej symfonji. Radość, Freude, schöner
Götterfunken (pierwsze wyrazy chóru z 9 symfonji) są tak rzadkie
w życiu, jak szczęście na wojnie. Muzyka tem się różni od wojny,
czem trąba sądu od mogił i grobów. Nieziemski dźwięk, mirum
spargens sonum, obudzić może trupa, natomiast sam nigdy się
nie położy do grobu, na miejsce nieboszczyka. Muzyka pochowa
człowieka, ale nigdy odwrotnie. Muzyka też wskrzesi człowieka
zawsze, kiedy on tego zapragnie, oraz w dzień ostatni, którego
najmniej pragnie, ale ona nie będzie jego życiem, powstałem
w dysharmonji jęku, wyrosłem z gniewu i zmarłem w nieporo-
zumieniu, wśród hałasów kłótni, przy dźwiękach muzyki wojny.
Niesumienność zabije człowieka, ale sumienie wskrzesi go, by
żył nie jako zło, lecz jako konieczność sumienia i harmonja
muzyki. Z człowieka będzie tylko trup, z wojny góry trupów,
sepulchra regionum, ale muzyka nieba, ale głos trąby sądu po-
wiedzą swoje ostatnie słowo w kłótni tej ziemi. Symfonia ra-

dości z tego powodu, że „znowu ludzie są jak bracia“, ten chór aniołów pokoju i heroldów przebaczenia może rozbrzmiewać tylko w atmosferze zgody i w sferach wyzwolonych z okowów nienawiści. Gdzie jest kłótnia, a zwłaszcza wojna, tam niema muzyki, a gdzie harmonja, tam milkną kłótnie, i nawet wrogowie słuchają jej zgodnie i przykładowie, i nie było wypadku różnicy zdań co do piękna muzyki. Kłótnia następuje, kiedy milknie muzyka lub jej nie słuchają, i wkracza i kracze nie tyle wymiana zdań o treści muzyki i istocie harmonji, jak harmider sporów o najlepszą naprawę życia, bojącego się panicznie naprawiaczy i reformatorów, o legalność wydzierania stronic jego treści, o najłatwiejszy sposób jego zeszpecenia, o stworzenie z pieniędzy ośrodka życia, o uprawnienie walki w celu zdobycia terenów i rynków pieniądzożonych.

Muzyka jest sprawą pokoju i jego częścią. Muzykalni nie znoszą kłótni, ale też są skłonni do namowy, agitacji, zaczerwienienia się i gniewu, wtedy się stają militarystami, muzycznymi politykami i muzyką na tematy gniewu i zemsty. Niema nic smutniejszego nad widok narodu poetów i muzyków, znawców i amatorów tych rzeczy, których porwał szal oręża, i rzuciły o ziemię drgawki i belkot epilepsji wojny. Zaiste, dziwy i potworności się dzieją. Naród przodujący na polu kultury pierwszy wyrusza na czele narodów w pole walki. Mógłby być świecznikiem świata i jego białą kartą, a stał się jego kwasem pruskim i przedarciem chlubnych świadectw dla celów zelżywych. Moznaby pokochać Niemców za ich muzykalność, a Niemcy dzięki niej mogliby się upajać melodią i śpiewnością polskiej mowy, perły i arcydzieła mowy ludzkiej i doskonałego prototypu muzyki. Ale w gniewie głos się zmienia, w perspektywie rzezi ginie arcydzieło, w nieludzkim skowycie, w hurgotach piekła niema melodji, przez głośnik wojny śpiew staje się chrapliwym, dzikim, zwierzęcym. Na wojnie mówi gniew, i szaleje ogień, ryczy Siegfried, Szyller pisze odę na cześć gazu „Parsifal“, a Neo Wagner komponuje marsz koronacyjny do misterjum „Parszywal raczył zejść z Himalajów głupstwa jako sojusznik w parszywej walce drabiny z drągiem“.

Wojna zaprzeczeniem muzyki, zdradą wolnego słowa i zakłóceniem spokoju, jako podstawy słowa i muzyki. Nic dziwnego, że ludzie nie mogą się porozumieć, bo gniew pozbawia ich rozumu, a wojna odbiera słowu jego szlachotny sens i górny

walor. W cichej rozmowie może jeden drugiego zrozumieć, czyli wiele przebaczyć i o niejednem zapomnieć. Wtedy możnaby się uśmieć serdecznie ze siebie, ze swoich strachów, uroszczeń, apetytów i megalomanji.

Słowo jest mocne i nieśmiertelne jako wyraz myśli o nieprzemijającym, jako esencja pokoju ludzi dobrej woli i tworzywo miłości. Na początku nic nie było, nawet człowieka i jego wojny, ale już było Słowo, przez które wszystko powstało i bez którego nic się nie stało, prócz wojny i zła. „W Nim było życie, a życie było światłością ludzi”. Życie było, jest i będzie, ale od chwili wybuchów kłótni i rzezi światłość życia zgasła, płacze się ono w ciemni niepokoju od wojny do wojny, bodzie baranim łbem mur zaprzeczenia i tem umiera, że nie może żyć godnem czołem a wzniosłe. Nie było większej apoteozy idealnego słowa nadto, kiedy Słowo stało się Ciałem, zamieszkało między ludźmi, słuchało ich słów i żyło ich życiem. Z tego obcowania słowa ze Słowem wyniosło. ono zapomnienie, życie pijące ze źródła wody żywej odwróciło się od niego ze wzgardą. Ciało Słowa czyli czyn poniosło śmierć gwałtowną, choć czyn, a tembardziej boski jest nieśmiertelny, a w swych skutkach zyciodajny.

A jednak słowo jest sztandarem człowieczeństwa. Nie na próżno prosty i wzniosły w swej prostocie dyalog ewangeliczny oraz Sokratesa i Platona stał się pierwowzorem logiki i etyki. Kiedy się sobie wzajem przebaczy, rodzi się życzliwość, a ta jest konieczną formą współżycia i uniemożliwieniem wojny. Gdyby ludzie właściwiej użyli swej mowy i nie nadużyli jej przebogatych możliwości, wtedy byłby zbyt cenny gniew; co nigdy nie ma racji w swej zapamiętałości nieartykułowych sylab zwierzęcia, i niepotrzebnąby była kłamliwość wykrętów, dywersji i wzajemnej oszwabki.

Tak. Radio mogłoby być wielką rzeczą, a stanie się tylko krótką falą przemijania pokoju, gwizdem bliskości niebezpieczeństwa, wyciem i ujadaniem ingerencji i interferencji w cudze fale i sprawy. Gdyby zasada radjofonji była zależna od człowieka, to wyglądałaby zupełnie inaczej, niż dzisiejsza wymuszana usłużność, której nic nie może przeszkodzić, niż wspólna zabawa w rozgrywanego i wzajemne rozrywanie się po bezczynności na rzecz pokoju, jako trening wojenny. Wszystkie wynalazki są w ostrem pogotowiu na wszelki wypadek, tam mają na-

stawione uszy i natężoną uwagę, posiadają wyraz głuchoniemego na wołanie życia i prawdy, istnieją w czasie pokoju, jakby nie było pokoju. Boć pokój europejski wygląda jak porządna wojna, a każda wojna jest zapowiedzią pokoju, który nim nie będzie.

Apologia wojny.

Słyszę wraz z chrzęstem i rechotem, szczękiem i szczekaniem wojny głęboki głos filozofa, bas o gęsim akcencie retora, i namaszczone wszystkimi smarami do kół armatnich jedwabny baryton moralisty, i liryczny tenor uspokojenia i bohaterskie kontralto błękitnej pończochy, że wojna jest obowiązkiem, tym właśnie lodowatym i świętym musem, który Kant na zimno założył pod fundamenty praktycznego rozumu. Łamy niniejszego pisma nie pozwalają i t. d.—mówię jak każdy, kiedy jest w kłopotcie, a chce się z honorem wycofać na zabezpieczone pozycje. Defenzywa podobno najtrudniejsza rzecz na wojnie. Kiedy na mnie skierują dziurę od armaty polemicznej,—boję się. W polemice i na wojnie decydują walory nieprzewidziane i zgoła dzieściorderne. Rzadko tam wygrywa słuszność. Kant też stropił się, kiedy go zapytano, gdzie koniec obowiązku, a gdzie początek musu, gdzie się zaczyna rzecz w sobie, gdzie się kończy strach przed praktycznym rozumem. Wąż, któremu nadeptano na ogon, podług czystego rozumu powinien myśleć, że to nadeptano sąsiadowi, że to ułuda o ile się o tem nie myśli, ale żydowin Marks każe dźgać. I wąż dźga, nawet wtedy, gdy go nikt nie rusza, nie patrzy nań. Jest wciąż w stanie rozzłoszczenia ten pocziwy kmiotek, ten spadkobierca po Chrystusie piły i hebla, idylliczny Filemon i cichy tkacz.

Oczywiście należy się bronić, trzeba, kiedy wyższy mus zażąda, oddać pierścionki i życie, zaprzysiąc na miecze, jak trzech bracia Horacjusze, trzeba bronić Termopilów i zgarnąć wraże dzidy w swą pierś dla stworzenia wyłomu w szeregach wroga, jak to zrobił Szwajcar na moście, — ale to już filozofja, której niema na wojnie. *)

*) By nie być posądzonym o wysilek ku osłabieniu ducha armii i narędu, o defetyzm, lub co gorsza o propagandę na rzecz zdania się na nielaskę wroga (czego to nie zarzuci człowiekowi, Bogu i ojczyźnie du-

Wprawdzie Hamlet twierdzi, że filozofować znaczy uczyć się umierać, ale na wojnie nie uczą się, lecz już umieją, nie umierają, lecz przestają żyć. W takim razie szczytem filozofii byłaby wojna. Wobec niej można filozofować o przeszłości, kiedy już przeszła wojna, a zaczęła się filozofja... imoralizmu. Wobec lecącego pocisku człowiek tylko daje nura, idąc do ataku, poleca się Bogu. Hamlet mógł rozmyślać nad zgniłością swej ojczyzny, ale zgniłość wojny, feter trupów i krakanie wronie zmuszą każdego rezonera do wdziwania maski i ucieczki. Rozum nic nie pomoże, gdzie się kończy rozumowanie, i zaczyna się paradoks istnienia, infernalna logika i agonja duszy czującej i cierpiącej. Anima lacrimans jest rozumem wojny, a jej duszą zaprzeczenie duszy i stwierdzenie materji. Gdzie idzie gra o rację życia, gdzie, jak mówi Balzac, postawiony zakład głowy o główkę sałaty, tam nie szukajcie rozumu, bo go niema w hazardzie, zwłaszcza tak krańcowym i szalonym, jak wojna. Klasyk może rozmyślać: „*beatus ille, qui paterna rura bobus exercet*“, ale fakt we wszystkie rury karabinów maszynowych nasypie bobu, wszystkie armaty nabije rozumowaniem, wszystkie woły zabije na mięso dla siebie, a ludzkie odda wronom, i pługi przekuje na bagnety. O szczęściu i błogosławieństwie niema mowy. Góruje inny okrzyk, niemniej klasyczny i odwieczny: *Beatus qui tenet!*

cha winnemu, wszędobylskie głupstwo) muszę się zastrzec najkategoryczniej, że i t. d. Chodzi mi li tylko o sprawy wręcz odwrotne i wyłącznie pacyfistyczne. Rzecz się stawia zasadniczo i idealnie. A ponieważ, jak mam niezłomną nadzieję, z niniejszej rzewnej, choć ślicznie napisanej epistoly „*nic nie wyjdzie*“ i nie zawróci ona nikomu głowy i nie sprowadzi biegu świata na nowe tory, ani starego łożyska nie przeobrazi w „*rzeki boże*“—więc też nie tylko nie ganię pogotowia, zbrojenia etc., ale się boję, czy nie jesteśmy za mało czynni i dostatecznie uzbrojeni. Nasza ciężka wina byłaby stać w opozycji do pokojowych tendencji sąsiadów, gdyby takowe zechcieli nieobłudnie objawić, ale jeszcze cięższa dać się złapać, zaskoczyć i wybić.

Żywię głęboki kult dla narodowego bohaterstwa, dla poświęcenia i honoru armji, życzę jej gorąco rozkwitu i zdrowia, a jej dowództwu mądrości i bojaźni wobec ryzyka. Ale jeszcze większą mam cześć dla życia i pokoju ziemi, jeszcze głębszy szacunek do bohaterstwa zbożnej pracy, do dobra ogólnego, idei pokojowej i ideałów wszechludzkich, do wielkich przeznaczeń człowieka, jego wzniosłych celów i świętego dziedzictwa.

Sądzę przeto, że nie będę źle zrozumianym: toby była najgorsza zapłata za moje dobre zamiary.

Fakt utrzymania linii bojowej więcej znaczy niż biblioteka aleksandryjska, zniszczenie ze względów strategicznych katedry gotyckiej warto tyle, co wszystkie style razem wzięte, a wygranie wojny mocniej zaważy niż sprawiedliwość i postęp. Matka, która płacze, nie rozumuje. Fakt, fakt! — krzyczą wrony na pobożewisku. Wobec szaleństwa faktu każdy staje bezradny. Niobe, jedna wspólna matka dzieci duszonych przez węża, i każda matka różnych narodów i wiar jednakowo czują, a łzy ich są jednakowo gorzkie, piekące i niewypłakane.

* * *

Na wojence wszystko zawodzi, każda kalkulacja i nawet zawód. Zdawało się, że kiedy nieszczęścia zaczęły spadać na ludzkość od czasów przekłętej pamięci mobilizacji narodów dla masowego mordowania, a hiobowe klęski zbiorowe i detaliczne były chlebem powszednim, kiedy każdy nosił w plecaku zgrozę, a w oczach śmierć, kiedy przerażony duch rozbijał swe piersi o kamienny mur niedoli, bezwiednie szukał i wołał u Boga ratunku, nawracał z błędnych ścieżek, cofał się przed milczącym obliczem przepaści, — zdawało się, że nastąpi zdecydowany zwrot, powszechne odwrócenie, nawrócenie... Wiele się zdawało naówczas. Aliści okazało się inaczej, gorzej niż było, niż mogło być. Została pamięć wesołej wojenki, gdzie wszystko ładnie i składnie, gdzie się coś niecoś przeszacowało, przefasowało, wycofało, zarobiło. Szanse na reakcję wobec ogromu nieszczęścia codzień malały i kurczyły się, aż ustąpiły miejsce z dnia na dzień puchnącym wrzaskliwym zemanfiszom, helotom i holocie, głodnej zbytku i igrzysk, zmiatającej w kąt stare bożki, stawiającej nowego bałwana ze złota i błota.

Niezliczone tłumy dziś i przez całe życie dźwigać będą skutki szaleństwa, snują dziś i zawsze cierpkie reminiscencje zawodu i rezygnacji ze szczęścia, opłątane gęstą pajęczyną nowych warunków, marnej rzeczywistości, bez widnokręgów, bez perspektywy, w kołowrocie tymczasowości, w zgrzycie niedopasowań, niedomagań, stagnacji i marazmu, — a jednak wciąż odwrócone od prawdziwego szczęścia, ośleple w smutku, szukające radości. Suną się w dzikim polonezie pijani niewolnicy w omroczeniu wrzeszczący o wolności, fanatycy, z kości współbraci budu-

jący raj na ziemi, pospolici zbóje, zgarniający gdzie się da, kradnący kradzione, mężczyźni bez honoru, i kobiety bez cnoty, panowie jak bandyci i bandyci o wyglądzie dyplomatów, panie z ubioru i zachowania się jak prostytutki, i kokoty, jak grandamy, kwiaty zła, grymas kultury, grób wiary i pogrzebowy marsz cywilizacji. Taniec szkieletów jeszcze nie dokańczony, zbielelałe ściany jeszcze milczą... Czy wskazówka zegara jest bliska dwunastej, jak lubi mówić gazeta, czy bliski już jest dzień zapłaty, jak wyje ulica?—tego nie wiem. Wiemy atoli wszyscy, że przeżywamy ostry i przewlekły kryzys uczciwości, deprecjację sensu. Górą niziny i męty, górą wszelkie stany zła.

Ale nie chodzi tu o gwałtowne jaskrawości, o pierwiastkowe przejawy zła, borgjaszowe zbrodnie, okrucieństwa tyranów i zdradność feudalnych książąt. Nie codzień są wojny, choć zbyt często, choć zawsze dopisuje ochota, choć zawsze znalazłoby się kogo skarcić i pouczyć, lecz duch jest mdły, i powojenne pieniądze nie szybko narastają. Nie wszędzie tryumfuje „bestja“, (są jeszcze idylliczne zakątki i urocze oazy) nie zawsze jej hołd i branki niesiono, i nie każdy zostanie jej wiernopoddanym. Owszem, zdrowy instynkt i sumienie nieomylnie rozróżniają zło, choć nie zawsze, nie każdy i nie wszędzie. Ogólny sprzeciw coś platonicznie zwalcza, ktoś gdzieś mądrze mówi, nie jeden bohater kruszy dzidy, a działacz działa... Wielkich zbrodzieństw niewiele, a gdzie wprowadzono raz wreszcie abstynencję od alkoholu, tam liczba ich zmniejszyła się znacznie; niema zbyt jaskrawych pokrzywdzeń, zwłaszcza nieupozorowanych, nagich i barbarzyńskich; są prawa, kary, demokracje i cywilizacje. Nawet wojny są prowadzone w imię wzniosłości, prawie, że nie dla samej przyjemności—(wojna wojnie, święta obronna, bez aneksji i kontrybucji).

A jednak zło rośnie, jawnie, bezsprzecznie. Opera carnis wyszczególnione w liście do Gal., przybierają w liczbie, wielkości i krasie. Nie chodzi tu, powiadam, o jaskrawości, które kultura tuszuje, zaciera, choć nie zawsze skutecznie, a policja tłumy, choć nie zawsze właściwie. „Lecz narodu duch zatruty, to dopiero...” Lecz duch świata pozostaje nietknięty. Alboż w Danji, gdzie każda krowa... gdzie kultura, budżet, gdzie na każdego mieszkańca przypada... jest mniej samobójstw niż w Polsce, alboż w Rosji jest więcej zła, niż w St. Zjedn., gdzie pusty strzał

z rewolweru jest większem zgorszeniem od zabójstwa w dzisiejszej Rosji, niż w Berlinie, gdzie zaśmieszenie chodnika jest grzechem, a redukcja jeńców przezornością, a wykret, migotliwa intryga, złamanie słowa, zwalanie odpowiedzialności—chwalebna cnota? Alboż nie jednakowo wszędzie rządzi nami chochoł, książę pan, bajecznie kolorowe iluzje, słudzy chochołowi, maski na wszetecznych gębach, figurki z szopki do złożenia z powrotem do pudełek kramarskich po odegraniu rzewliwego spektaklu; alboż nie wszędzie „dni dzisiejszych gminna pospolitość“ zacieiera kolory, odbarwia, niweluje, miele wszystko, i miłość i hasła braterskie i ideały szczytne w proch i piach? A sprawiedliwości niema od bieguna do bieguna, a jednakowo wszędzie zginąć można w nędzy, jak z powodu braku miłosierdzia, tak z racji filantropji. Alboż nie tańczy szopa okrągły rok z miłości ku bliźnim, a cały świat w obłędnym wirze nie zatracił poczucia dobra, nie pogubił figurek, któremi ustawiać zwykł puste wnętrze swej duszy?

Wszystko się pokazało niegodnem do użycia, a niewiarogodnem jak chochołowe granie. Błagą się pokazało marzenie „przytem wichrów graniu o jakimś wielkiem kochaniu“, oraz odświeżne życzenie, by jeno „szlachetni władali nad światem“. Błaga najpiękniejsze nadzieje-brylanty w szkło obróciła, bo „ziemi tej macochy gminu“, najświętszej spuścizny pracy, przedmiotu targu, intrygi i wojen, zabrakło rąk do uprawy, i zabrakło ziemi dla rąk nierobnych, dla spracowanych dłoni, dla apetytów wilczych, bo uroczyste wołania młodzieńczo wierzące w fraternizujące okpiarstwo: niech zginie krzywda, niech się stanie światło, niech raje wykwitną, niech proletarjat odzyska człowieczeństwo i złączy się z dobrem!—są dotychczas głosem w pustyni, nudnym banałem, grochem posianym na ścianie. Napróżno czekać będziemy, kiedy się zasypie i wyrówna „przepaść, która braci dzieli na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli, która tak jest bezbrzeżna jako oceany, a tak straszliwa jak otwarte rany“ (Konopnicka).

I bez tych radykalizmów, wielkich zadań i wiecowych grzmotów o krzywdzie, każdy ma skromniejsze ale donioślejsze i cięższe zadanie zmniejszyć krzywdy, jakie każdy sobie wymierza hojnie, bo każdy jest sam siebie największym krzywdzicielem, największym producentem zła dla własnego użytku pierwszej potrzeby, klasycznym tyranem swego domu, autorem własnej zgu-

by, i jeneralnym dostawcą większości swych grzechów i wielu nie~~sz~~część. Defienda me Dios da mi! — niech Bóg mnie ode mnie obroni! — Heu! Patior telis vulnera facta meis (Ovid.) albo jeszcze dosadniej: fortunae miseras auximus arte vias (Propert.).

Tak. Duch świata, duch narodu, naczelna zasada, principium i cel są zatrute, — i tu się zaczyna bólów ból, tu zatracenie i sąd. Zatruty nieznacznie a stale, nawet w atmosferze dobrotliwego spokoju, w zapomnieniu weselnego rozgwaru, w upojeniu tańca.

Ale świat się boi tylko swego księcia, czytajcie boga (Wir Deutschen...) Na widma ma środki nasenne, znieczulające, rozweselające, — na trwogi — filozofję.

Dalej w tan! Wszystko dobrze... Wesele wszak dziś i zawsze. „Tańczy szopa cały rok“. Wszystko wesoło wiruje: stoły, życie, chochoł, racja stanu, szopka od spraw wyjątkowo ważnych, „czy to grzech, czy to śmiech, czy to kapcan, czy to pan, na wesele idzie w tan“.

Tylko w tańcu, tylko w poezji, tylko na bajkowem weselu złączyły się wszystkie stany w zgodnym korowodzie, bo i tam, gdy wieniec się rozplótł, stare krzywdy i animozje wylazły uszczypliwe i warczące, trzymane wszakże na smyczy obyczaju, bo wnet potem ogólny nakaz, zew krwi: „trzeba stać i walić w mordę“ (Wysp.).

Wielkich i małych krzywd, zbrodzieństw samouchcących i mimowolnych, zła hurtowego i detalicznego, cierpień przegromnych i dolegliwości nieznacznych, czarnej nędzy i niedostatków chronicznych, chorób i śmierci jednak i koniec, to samo przeznaczenie: rozplývają się w niebycie. Mają one swoje brzegi, swoją rozlewność i swoje lądy. W życiu prawdziwem niema dla nich miejsca. Ich życie w śmierci; po za nią rządy ich nie sięgają. „Prawda twa we śmierci jeno wiecznie trwa“.

*

*

*

Śmierć prawdą zła i wojny. Żywi są tam statystami i komparsami, ale treścią śmierć. Wojna to śmierć w potęgde n+1, piąta esencja śmierci, jej tryumf i życie. Okropną jest śmierć, jak jej satelici — choroba i każdy zacięty, nieprzejejdany, potężny wróg. Niema nic okropniejszego nad śmierć gwałtowną, a nie-

spodziewaną, bo nawet na wojnie nikt się nie spodziewa śmierci, przekonany, że życie i jego wymogi powodują wojny, że wojna, jako wahanie się pomiędzy nadzieją i strachem, jest pulsem i stwierdzeniem życia, oraz uczłowieczeniem jego pierwiastków. Można spoglądać nieustraszenie w oczy śmierci, ale nikt bez drżenia nie wpadł w jej kościste ręce. Jej byt abstrakcją dla odważnych i silnych. Ale śmierć zna tylko nieubłagane prawa statystyki i nie zważa na teorię, lęk czy odwagę. Fortuna sprzyja odważnym, ale śmierć nie ma dla nich respektu, pożąda ich, jak każdej wartości. Między śmiercią i fortuną niema spółki, śmierć stoi izolowana i jak każda samotność zazdrości szczęśliwym, bo odwaga poczuciem bujności, szczęśliwym zbiegiem zaufania w gwiazdę fortuny i własne siły. Odważny wzbudza szacunek, leżący litość. Z chwilą upadku kończy się odwaga. Dobija leżącego, pastwi się nad bezbronnym i złupionym z odwagi tylko śmierć i barbarzyństwo, jakim jest wojna. Tam się praktykuje ów nieczyny proceder zemsty śmierci nad fortuną i odwagą. Wojna nowożytna jest tem wstrętniejszą, że zostawia mało miejsca na odwagę, osobiste walory i promienie gwiazd losu: wszystkie miejsca w rydwaniu zwycięstwa i porażki zajęła śmierć. Masowa, nagła, urągająca wszelkim kalkulacjom, wywracająca każdą nadzieję, wieloosobowa, belua multorum capitum... Jej najliczniejszą klientelą kandydaci do rowów strzeleckich, do dołów bratnich, bracia jednym gazem struci, trucieli serc swych najbliższych.

Ona naszczuła ludzi, jakoby wszystko co na drodze, to nieprzyjaciel. Albo on mnie złupi, albo ja jego. Z kim się najczęściej spotykamy, ten największy nieprzyjaciel, najobrzydliwszy człowiek (omne rarum carum), a niema gorszych nieprzyjaciół nad domowników. Nawet między żoną i mężem istnieje cicha (czasem głośna) ale ciągła walka, choć przerywana krótkim pokojem. Niema większej nienawiści, jak między braćmi, większej niezgody jak między rodakami, większej zażyłości jak między partjami jednego rządu i większej pogardy jak między wyznawcami jednego Boga. Te scysje, zaognienia i dyfamacje, podniesione o stopień wyżej, potknąwszy się na długich schodach przypadku i złego wydarzenia wywołują wojnę, jej najpodlejszy gatunek, wojnę domową i religijną. Wtedy drżycie narody, i w uszy bierz ziemio! Najmarniejszy tchórz staje się bohaterem, ciura obozowy idzie do ataku jak pierwszej klasy bojownik o prawdę.

Wtedy niema ustępstwa, ani litości, a jedyny zew krwi i konieczność czasu—pracć aż do skutku. Wtedy gaszą żywoty jak świeczki na ołtarzu, rozbijają główki dziecięce o skałę, którą też jest Kościół i Chrystus, w klasztorach i skrytkach mordują lub bezczeszczą kobiety. Trzeba daleko iść i tak bardzo zatwardzić swe serce i przyzwycząić oko do widoku krwi bratniej, „aż pokolenie niebożnych zaginięcie”, ku chwale Izraela, ku pożytkowi dusz żyjących, ku pociesze zmarłych.

Habent s'ma fata bella, jak i libelli. Nad niedopisaną księgą zbrodzieństw ludzkich zawisło groźne fatum zniszczenia, na jej marginesie wypisano: „kto mieczem wojuje, od miecza zginie”. Ginią też masowo, a chętnie, obłędnie. Obłęd fatum wojny, opętanie jej duchem, nienawiść jej życiem. Te trzy stany zawsze rodzą smutek, ciężką zgryzotę, niewypłakany żal. Krótkie życie,—wojna długa. W krótkim życiu są tak długie smutki, spłakane dni i tak krótkie radości, jak pokój między ludźmi. Życie jest smutne, rozczarowane, zgryźliwe i niedostateczne, bo powstało w przerwach między wojną i walką, nienawiścią i obłędem. Zginie też na najbliższej wojnie, rozwie się jak sen o szczęściu.

P o k ó j.

Hasłem najbardziej popularnem u obu walczących: wojna do zwycięstwa. Każdy chce być zwycięzcą, a ponieważ to niemożliwe, więc obaj są zwyciężeni. Ludzie chcą pokoju, ale wojna nie chce, bo pokój to jej śmierć, powrót do rozumu i zdrowia. Wojna życzy ludziom śmierci, nie zaś rozumu i zdrowia. Moc wojny tak wielka, że trzymając ludzi w swych łapach nad brzegiem przepaści, nie dopuszcza do nich myśli o ratunku w pokoju. Zresztą sam pokój, zwłaszcza przedwojenny jest stanem podgorączkowym, który nie jest zwiastunem zdrowia, lecz doskonałym stopniem choroby. Jest on wstępem do śmierci, która się prezentuje jako jedyne wyjście ze wstępu, jedyny węsoły ustęp w ponurej czarnej księdze materiałów stanu zbrojenia się. Materiał musi być użyty, umeblowanie musi być ustawione, inaczej nie są materiałem, ani meblem. Pancernik bezczynny rdzewieje, istniejąc nie dla samej demonstracji. Co kilka

lat musi być zamieniony na nowy i lepszy w słusznem przewidywaniu, że przez bieżące parę lat będzie lepiej użyty. A jeżeli się nie zbuduje pancernika, zrobi to sąsiad przez sąsiedzką uprzejmość. I tak bez końca.

Niemcy mogli zaprzestać wojny dwa lata wcześniej: inaczej ułożyłoby się dla nich i dla wszystkich, ale nie pozwoliły wojna, nienawiść i opętanie. Nawet nieprzyjaciele wojny głosowali za nią, nawet uczeni aprobowali, owszem, sami wynaleźli jej metody i logikę, nawet poeci opiewali jej bestjalstwo i nie-ludzkłość. Wpatrzeni w zagrożonego fetysza ojczyzny, której największym wrogiem sami rodacy, posłępli oni i pogłuchli od prożektorów mów, od salwy druków, od hipnozy mediumicznej. I tak aż do zwycięstwa.. śmierci i szału.

Myśmy też mogli zawrzeć pokój z bolszewikami w Borysowie, ale widocznie nie podobało się miasto, za małe dla mocarnych niedołęgów, a może nawet nikt nie słyszał o propozycji za harmiderem walki wewnętrznej, za łoskotem walących się rusztowań nowego gmachu, co miał stanąć, a nóg nie miał. Rezultat znany. Tylko cud nas ocalił, właściwiej wypadek, złe obliczenie i wyzerpanie się wroga. Skłonni jesteśmy widzieć to, czego niema i sławić rzeczy, których trzeba się wstydzić. Ileby się ocaliło naonczas życia, mienia i honoru, gdyby się zawarło pokój. Trzeba było aż takiej drogi od Berezyny i Kijowa do Warszawy, Płocka i Torunia, żeby zrozumieć nareszcie. Wszak gdyby bolszewicy mieli szerokotorową kolej, gdyby się nie zapędzili tak daleko, już mielibyśmy u siebie „raj”. Lekceważyć wroga, kpić z niego, wyzywać i wydziwiać jest naszą specjalnością. Zaiste P. Bóg stworzył cud, aby ślepy przejrzał, a nie nowonarodzony nauczył się nareszcie chodzić. Ale bez skutku. Co było ślepe, zostało niem, dziecinne zapadło na angielską chorobę, mężne zniedołężniało, zapal się obrócił w złomy węgiel, a miłość w sople lodowe.

„Już się cud nie powtórzy!” — mówi dziś motłoch, wielomiljonowy tłum, oszukany i nędzny, sam oszust i nędznik. Słyszycie to, senatores populusque, rajcy i konsulowie, przewodcy, optymaci i epigonowie niewydarzonej świetności i mocarnych ról! Cud się nie powtórzy! Zresztą, cuda narodowe i wojenne to szkodliwa rzecz. Utrzymują w swoistem lekceważeniu wroga, i podufałości w sobie: żeśmy to nie jacy tacy, nie takim daliśmy i t. d. Słaby wróg osłabia silnego przeciwnika. Silny pognębia

wroga hipnozą swej siły i poczuciem jego nicości. Ale głusi nie słyszą, ślepi nie widzą, umarli nie zmartwychwstają. Żaden cud ich nie obudzi, a gdyby tak się stało, poprzestaliby na piosence i defiladce, na nowej racji kłótni, na nowym zamęcie i sroższej niedoli. Choć senatus ten sam, ale naród już nie taki. Pocieszacie siebie, żeśmy naprzód poszli, i dużo ku lepszemu, ku naprawie Rzplitej się zrobiło. Niech tak,—„lecz narodu duch zatruty“, powiedziec dziś można, dołączając wiele innych rzeczy. Naród zgnuśniał w apatii, szyderstwie, złości na swoich i siebie, skwaśniał w zwątpieniu, spleśniał w stagnacji. Słyszycie! naród już nie taki jak dawniej. Przyłóżcie ucho do jego piersi, zbadajcie jego serce i puls: resztki włosów wam się zjeżą, senatory. Jest zarażony najgorszym rodzajem bakcyli ze wschodu, ma w sobie miliony prątków judaizujących, jest chory z nędzy, lęka się niezabezpieczenia i majaczy o raj.

Nie zawarliśmy pokoju wczas, mieliśmy niepokój nie w porę. Naonczas na „froncie“ na 60 wiorstowym odcinku „stał“ jeden pułk ułanów, i nie było żadnych rezerw, literalnie żadnych, ani bliskich ani dalekich. (Panowie cygara palili... i kłócili się jak parobcy, palący w gazecie machorkę). Gdyby rozstawić ów pułk kordonkiem na froncie, to chłop chłopca nie widziałby. Ale nasze granice naturalne i historyczne są na Dnieprze. Jeszcze w marcu na tym odcinku bolszewicy mieli trzy dywizje i wciąż gromadzili nowe, u nas ten sam pułk stał do maja, kiedy wróg zrobił pierwszą próbę, zmiatając oczywiście biednych ułanów i nie tylko ich. Nie chcieli żydzi jeść manny, zjedli kakao. Nie chcieliśmy zawierać pokoju w Borysowie, zawieraliśmy go pod gradem obelg i szykan w Mińsku, kiedy chmura parła na Warszawę.

Czy ktokolwiek był odpowiedzialny za powyższe, czy kogośkolwiek pociągnięto i napiętnowano mianem zdrajcy? Nie. Najwyżej usunięto tych, czyja postawa i postawienie się nie podobaly się pokojówce żony przygodnego zbawcy ojczyzny i adjutantowi króla. Najwyżej odbył się i odhyla się bal maskowy, chroniczna zabawa w chowanego i kontredans personalny. Oczyszczono po długich deliberacjach i masie bezużytecznych sporów i krzyków plac do nowej defiladki przed starym koniem. Po dawnemu grasuje intryżka, protekcjka, kuzynkostwo, zawiści, niechęci, gwałt i gwałtowne lub ciche wyrzucanie za drzwi, za nawias, poza obronny mur kołtuństwa. Opinja milczy, bo jej nie ma głuchoniemy. Jest orkiestra niesymfoniczna i niesympa-

tyczna, są soliści, są pojedynczy „brzechacze“ lub ich chór, jak w nocy na wsi, kiedy jeden drugiemu rzuci lezkanie i bez wrażenia — złodziej! a generalbas warknie odczepnego — szuje! a chór zapieje maestoso marsz pielgrzymów do pokutnej przyszłości polskiego Tannhausera, do moralnego odrodzenia nieodrodnej córy upadku. A gospodarz śmignie batem dla postrachu, by jeszcze więcej zachęcić pieski świat do wrzawy nocnej, do nieskończenie długich arji solistów, do babiego jazgotu małych szczeniaków. Każdy rząd bywa nigdy niedość dobry, każdy jednodniowy minister z kilkunastu gabinetów jest postacią cokolwiek humorystyczną dla zupełnie komedjanckich krytyków, na każdej władzy każdy hycel wiesza psy, z każdego senatu robi dowcipy byle kuchta lub inny kabaret.

Co przeszło, to przepadło, niema o czem wspominać, porzestaśmy na dobrem słowie. Chwała Bogu, że wogóle jest pokój, choć wewnątrz wojna braterska, a z jednym sąsiadem wojna ekonomiczna, z drugim wojna bezkrwawa, z trzecim wojna w zawieszeniu, z powodu braku nie tyle dobrych chęci, ile sił. Co czas przyniesie — wiadomo. I nie tyle przyniesie i nie czas, ile przyniosą lub zgola przywloką marszałkowie Napoleona, sam Mars gradivus. Jedną z tych, jakich nie było, a nie będzie. Ulepszoną, odnowioną, wyposażoną, strojną i skromną, jak panna do ślubu, pełna miłości, ideałów i nieznamości siły przypadku. Przygotowuje się do wkroczenia na kobierzec, raczej przygotowują ją od pierwszej długiej sukni, jak mówiono dawniej i od skrócenia jej do niemożliwych granic, jak dziś. Czy chce, czy nie chce, musi się przygotowywać do swego powołania. Kiedy ideał i księżę zza morza nie zjawia się, szuka ją go ciotki, szuka go sama oblubienica, — nie ma ani ojca ani matki, jest sierotka, ma tylko rodziców. Kiedy jednak nie znajdzie, przeniesiona bywa do rzędu rzeczy starych i nieużytecznych. Polska ma starających się, asystentów i adoratorów, ale bez zamiarów matrymonjalnych. Nie ma narzeczonego. Tylko felix Austria nubet. Jest wprawdzie cudzoziemski princ, ale padagryk, bez królestwa i bez posady. Jest jeden ze swojskich królewiat, ale nie bardzo historycznego nazwiska i mocno zeszczupłały, bo mający przy sobie tylko obiecaną pomoc wschodniej siostry, co się prowadzi skandalicznie. Dwuch tylko pretendentów do serca, a nie ręki: Michałek z zachodu i Iwan Bezrodnyj ze wschodu. Tych trzeba brać serjo w rachubę, gotować się do

ich przyjazdu; ci dwaj są niebezpieczni, są straszni i nieobliczalni. Wobec tych zostaje pytanie bez odpowiedzi, czy warto się z nimi znajomić, czy należy się przygotowywać, tracić na wyprawę i ekwipunek.

Ale narzeczona nie ma głosu, bo ma zbyt wielu krewnych opiekunów i doradców. I choć biedna, jest bogata w nieprzewidziane możliwości, choć dom jej ubogi i mały, ale plac w śródmieściu, położenie bajeczne, tuż przy rynku zbytu, w samym centrum międzynarodowych targów na bydło, w środku intryg, zawistnych spojrzeń, nieklamanych marzeń i obleśnych nadziei. Okazuje się, że dobre położenie może nie mieć wyjścia, że bogaty plac wartości całej Wall street, może przynieść biedę i nieszczęście. Tymczasem położenie obowiązuje... do przygotowania na spotkanie oblubieńca, przychodzącego z nieczystym zamiarem.

Rosję nieraz gubiły jej niezmierzone przestrzenie, a czasem jej pomagały, Polskę gubiło dawniej i dziś jej fatalne położenie. Byłoby godne zazdrości, gdyby tkwiło gdzieś na uboczu od wielkich szlaków, kędy idą karawany i czyhają zbóje. Okropna rzecz nieść na sobie jak Atlas ciężar przedmurza, być zaszczyconym wielką gwiazdą obrony cywilizacji, hyć stale odrapany przez druty kolczaste blokady i izolacji, opędzać się od band zbójcekich, swoich, tatarskich, tureckich, sąsiedzkich z prawa i z lewa. Ciężko jest orać z muszkietem i kordelasem i spać, nie zdejmując butów. Kilka wieków zeszło w walce z różnym robactwem. Jedni z północy parli na dalekie południe, drudzy w odwrotnym kierunku. Szli wszyscy, kto miał nogi, lub nie mógł jechać. Nawet Szwedzi. Ilu ich, co i dokąd ich niosło, czego oni szukali, aż hen pod Częstochową, Wilnem, Połtawą, na Sanie i Dnieprze? Coby powiedziała historia, gdybyśmy „chodzili” pod Stockholm, Oslo i inne niedźwiedzie kąty? Innym wolno, tylko ty czleku haruj, ciągle odbudowuj, rozbudowuj, naprawiaj, zasiewaj, by znów jakiś krwawy zbój miał co rabować, tratować, palić, w pień wycinać, w jasyr brać. Ile przez ciebie, ziemio ojczysta, przeszło tego tałatajstwa. Ile buńczuków, banialuków, sztandarów i orłów liktorskich, napoleońskich, teutońskich, moskiewskich widziały twe sosny wyniosłe i oczy ze strachu zbielełe twych niewiast! Ze wszystkich rzek piły konie wraze, i wszystkie one się zaczerwieniły od krwi swojej

i cudzej. Wernyhora i każdy prorok przepowiadał, z jakiej rzeki dziś będzie pił ryży koń wroga, i wtedy już miał być koniec wrogowi.

Ale woda polska słodka. Pijąc ją, ma się większe pragnienie. Wciąż piją i pić będą, a nie pękną, bo liczne są, jak piasek rzeczny konie bojowe wrogów, a smok ma tyle żołądków, ile głów.

Wiśła ma przymioty i wady wszystkich rzek, oczywiście niekniętych palcem pracy: wylewa i topi co rok spory kawał dostatku, pozatem na ile jest wielka, na tyle nieużyteczna, dla nas przynajmniej. Bo po niemiecku nazywa się Weichsel, co oznacza czereśnię, drzewo. Woda wszędzie jednakowa i w wystarczającej ilości, drzewo nie. Każdy surowiec cenny dla tego, kto spożytkuje i robi go potrójnie cenniejszym w postaci fabrykatów, za które potrójnie zapłaci eksporter surowca. Po drzewo tedy wyrusza wyprawa krzyżacka, po naftę angielska, po węgiel francuska. Złe mieć za dużo węgla i drzewa, złe wogóle cokolwiek mieć. Dobry apetyt znaczy nieraz więcej niż drzewo, zwłaszcza, jeżeli jego „spożycie” wskazane przez najlepsze powagi ekonomiczne. Ale w polskiej wierzbie siedzi djabeł. Ci co go zjedli wraz z drzewem i bez drzewa czują do dziś niestrawność. On nasz prawie rodak. Kiedy P. Bóg nas opuści, ten nie zostawi nas nigdy. Nie traćmy otuchy, i niech serca ulatują wzwyż.

Tandem tedy położenie pod psem. Granice, jak dawna gościnność, otwarte ze wszystkich stron, bez fortec, bez naturalnych osłon, gór i rzek. Od strony Niemców jesteśmy w podkowie, Warszawę można ostrzeliwać ze W. Prus, skąd już dziś szczerzą swe kły siedem wypadowych fortec cichaczem uzbrojonych, Zagłębia można zniszczyć w ciągu paru godzin, jak również kolej Warszawa—Wilno z terytorjum Litwy. Poznańskie i Pomorze są w kleszczach, od strony Rosji to samo: granice na tysiące kilometrów, które pochłoną odrazu olbrzymią armię. Cóż przeciwstawimy tym jedynym naszym wrogom i na nieszczęście potęgom. Pierś swych synów? Sojusze, sieć sojuszów, w których jesteśmy okiem lub oczkiem? Niestety, kombinacje zawodzą, i prosty przypadek, który na wojnie jest decydującym motywem, wywraca domy z kart. Armja nie przedstawia jednolitej scementowanej masy, ma dużo rysów, szczelin i objawów zgoła

niezdrowych. Ale niech będzie wszystko najlepsze, niech każdy żyd, każdy pół dziki Białorusin, i ziejący nienawiścią Rusin będzie patriotą pierwszej klasy, niech będzie zgoda nad podziw i wyjątkowa jedność, niech armia od uderzenia brzmi rozgłośnie jak spiżowy dzwon, — to i wtedy sytuacja przedstawiałaby się mocno problematycznie. Większy tylko przelew krwi i większe zniszczenie. Olśnieni cudem nie doceniamy potęgi niemieckiej i kolosalnych rozmiarów Rosji. Wszak nie tak dawno Niemcy byli dalecy od porażki, walcząc z dziesiątkiem wrogów. Znaczą trzeba szukać innego sposobu życia, niż orężna rozprawa, trzeba wiele ustąpić, niejednego poniechać i nieraz ścierpieć. Musimy się rachować z nimi, jakimi są. Nie zmieniają się, i my ich nie zmienimy. Musimy raczej sami się zmienić. Trudno. Słaby i biedny sypie grobelkę podług swego stawu i nie grozi potentatowi z sąsiedztwa, że ziemie jego zaleje i byłoby wytraci. Tymczasem, przebóg, coź robimy! Oto wszystko, by rozjuszyć sąsiada, utrzymać go w stanie wrzenia. Nie zachowujemy nawet zwykłej przezorności i sąsiedzkiej uprzejmości, a wszakże najczerwieńszym obiektem zemsty i odwetu jesteśmy my i nasi znajomi. Nie boją się tego tylko tchórze i politycy, oraz rodzimy tupecik, tutejsza błaga, dzielnicowa lekkomyślność, potrząsanie szablikiem, sakwą i kijem. Tak jesteśmy odważni, że plujemy wrogowi w twarz w każdej gazecie i przy każdej sposobności, a śpiewamy uroczystie, że to on tak czyni. Mili sąsiedzi, pluja na siebie przy spotkaniu, pluja, nawet nie widząc siebie, nawet w pieśni. Ta pieśń o pluciu z kiepskich wierszy i takiej samej muzyki śpiewana przez tyle lat i przy każdej sposobności i bez sposobności to skandal i nieprzyzwoitość. Mało godności, jeszcze mniej politycznego sensu; niema nawet patosu nienawiści, a jest niestrawna marmolada. Hodujemy w nienawiści pokolenia, karmimy się nieprzyjaźnią, ktoś spożyje niejadalny owoc tej pracy.

S t r a t y.

Wojnę się prowadzi oczywiście nie dla ideału, lecz dla zysku. Wielki zysk, obliczony na krocie i wieki, nie bywa doraźny. Ma on być nieobliczalny, bo ktoś musi pokryć straty swoje i cudze, i ktoś jeszcze grubo zarobić. Ale rzeczywistość wywraca

te krótkowzroczne kombinacje. Doraźna strata nie nadąży za uciekającym zyskiem, który jest tymczasową stratą, a zyskiem nigdy nie będzie. Strata jasna i odczuwalna nie jest współmierną z problematycznym zyskiem. Im większa wojna, tem większe straty i mniejszy cień zysku. Nawet ci, co zarobili, faktycznie potracili, jeśli nie liczyć garści nowobogackich produktów wojny, rekinów giełdy i szakali pobojoisk: kruki zawsze się znajdują, byle były trupy. Im większa wojna, tem więcej trupów, odpadków, ścierwa, tem więcej nowych bogaczy. Ale nikt nie może twierdzić, że przez to kraj się wzbogacił, jak nikt nie powie, że ojczyzna choć raz zakwitła, bo przemysł w czasie wojny nie nadąży za obśtalunkami, pracując dzień i noc, lub że ojczyzna bogata, bo rozlała się w niej powódź papierków, lub że jest zdrowa, bo jej synowie spędzają całe lata w polu, na świeżym lufcie.

Zwykły bogacz ma pewien umiar i gust, zaś powojenny wywleczony z gnojówki nędzy przez wypadek, o jaki na wojnie nie trudno, szaleje z radości, wykleja banknotami swe samochody, objucza swe dziewczki luksusem, obwiesza „cycefesami birżuterji”, sam żyje jak wieprz Epikura, pije wino z kufła, je sardynki w łoży na premjerze „Parsifala” i wyciera palce o plusz firanek. Dla niego są wystawy i zastawy, dla niego miasta powojenne mają wygląd bogatych, gdzie wszystko jest prócz pieniędzy. A motłoch zgrzyta zębami, podciągając pod jedno miano burżujów godnych śmierci, i biedaka inteligenta i każdego stojącego o stopień wyżej od nędzy. Wtedy każdy kupiec — paskarz, każdy nie plujący na podłogę — pijawką pracującego ludu, czytający coś więcej nad gazetę — kontrewolucjonistą. A ten co powiedział swoje skromne zdanie o widzianem i słyszanem, musi umrzeć.

Oto zysk, a straty będziemy oglądać i czuć coraz mocniej w tem doczesnem życiu.

Zgoda, że życie ludzkie nic nie warte. Ale człowiek jako maszyna wart jej ceny. Zwłaszcza taki, który się uczył pracować produkcyjnie, wytwarzać więcej i intensywniej czuć. Kilka milionów zabitych Niemców warte są więcej, jako zatracony kapitał, niż tyluż Rosjan. Obliczmy roboczy dzień każdego minimalnie, a otrzymamy maksymalne sumy. A materiał wojenny? zważywszy, że jeden ciężki pocisk lub mina kosztują dziesiątki tysięcy dolarów, że łodzi podwodnych rachowano na setki,

a tylko jednego dnia w ostatniej wojnie wyrzucono więcej pocisków, niż w całej franko-pruskiej wojnie w 70 r.

Krócej mówiąc, ogółem wielka wojna kosztowała 400 miliardów dolarów, nie licząc jej pobocznych produktów, mniejszych wojen, nie licząc wartości zmarnowanych milionów istnień, nie licząc kalectw, nieszczęść, niezdolności do pracy, sieroctwa i t. d. Potworna ta suma równa się wartości prawie wszystkich państw walczących. Zaiste, walczą do ostatniego zdechłego psa. Gorzej, bo za długi, których wielkość przewyższa parokrotnie wartość dłużnika, jego żony, domu i osła. Ale skąd pieniądze? jakie piekło „sfinansowało“ to straszliwe przedsiębiorstwo? Oto naprzód na pierwszy ogień poszły wszystkie oszczędności narodów, i choć były znaczne, wystarczyły tylko na rozegrzanie maszyny, na wprowadzenie w ruch tłoków i transmisyj parowej rzeźni. Lwią część (75%) stanowią pożyczki wewn. i zewn., potem swój 15% udział wniosła kochana ciocia inflacja, resztę podatki. Gdy wewnętrzne pożyczki okazały się oszustwem, a zewnętrzne okazywać poczęły skłonności bezzwrotne, czyli gdy zabrakło kredytów, inflacja poszła na całego, a kiedy ją sztucznie zahamowano, podatki dorzuciły już powalonych przez inflację. Obciążenie wynikające z podatków spożywczych i monopolowych wynosi u nas na każdego 22 zł, w Niemczech dwakroć tyle, w Anglii aż dziesięć razy więcej. Obciążenie to np. w Anglii wzrosło w stosunku do przedwojennego cztery razy więcej. Przytem rzecz prosta, — z powodu wysokich cen spadły normy spożycia, gdyż ceny produktów są w odwrotnym stosunku do skali zamożności, a ta spadła ogromnie, jak wszystko, nawet złoto. Np. Polak je cukru pięćkrotnie mniej niż Anglik, a ten mniej niż przed wojną. Na ile zdrożały produkty, na tyle zubożał konsument, dla którego jedzenie w wielu razach, staje się zbytkiem, a normalne spożycie zalicza się do luksusu (Liż palec, wspominając przedwojenny czas). Ale zato wymagania skarbowe państw, apetyty fiskalne i potrzeby naglące niczem niezaspokojone ogromnie wzrosły w mylnem przywydywaniu, że konsument za wszystko zapłaci i wszystko zje, zapłaci nawet za wojnę, odpokutuje za cudze grzechy i zje niejadalne wojenne odpadki.

Potworną sumę 400 milj. dol. trzeba by liczyć 4 tys. lat, pracując 10 godzin dziennie i licząc po dolarze na sekundę. Waży ona 800 mil. kilo, na jej przewiezienie trzeba by 80,000 wagonów, czyli 1600 pociągów po 50 wagonów. Co za te pieniądze można by ku-

pić?—rozmyśla szalony gracz, waląc głową o ścianę. Raje i mają i wiosnę. Może wiosnę narodów napróżno oczekiwana. Możnaby wszystkich uszczęśliwić, dać wszystkim pewność jutra i spokojne dostatnie dziś. Możnaby wszystkim rodzinom Niemiec, Rosji, Polski, Francji, Austrii, Włoch, Belgii, Anglii i Stan. Zjedn., jak obliczył Berger, dać na gwiazdkę dom za 2¹/₂ tys. dol. i po półtora tys. d. na czarną godzinę. We wszystkich tych krajach w każdym mieście i większym miasteczku możnaby wydać po 5 mil. dol. na szkoły, ochronki, zwalczanie gruźlicy, ciemnoty, pijaństwa, nędzy wyjątkowej i normalnej. Prócz tego za 10 mil. dol. każde parszywe miasteczko, cuchnące i chorobotwórcze, można zamienić w ogród różanny i paradysus rusticorum, a w każdej schludnej mieścinie zachodu możnaby wybudować kryształowe pałace nauki i sztuki, wybudować drogi i koleje, uszlachetnić handel i żywić przemysł. Potem jeszcze pozostanie taka suma, że możnaby za nią utrzymać 250 tys. ludzi pracujących dla kultury i oświaty, wyposażonych po 1000 dol. rocznie. Za resztę możnaby kupić na dodatek całą Francję i Belgię od Luwru do konia na prowincji.

Zaiste, „miałeś złoty róg, ostał ci się sznur“. Ale to nie koniec, to raczej początek. Sznur ten zginął. Wzięło lichy krowinę, niech bierze i powróz. Z olbrzymich sum nic nie pozostało, mniej niż nic, gorzej niż zero, bo miliony grobów, zniszczone kraje, spalone miasta i wsie, zastój, nędza, depresja, upadłość i rozpacz. Po wielkiej wojnie nadeszła era dziesiątka małych wojen, zjawił się bolszewizm, anarchja, upadek, najazd na Polskę. Znow się zniszczył zniszczony kraj. Zerwane mosty, popalone dworce, miasta i osiedla znow się paliły i zrywały. W Rosji jednego dnia spłonął doszczętnie cały zaoszczędzony majątek narodu i część jego wytwórczości, czyli miljardy. Resztę pożarło robactwo, głód, wojna domowa i mór. Rosja swem niezmiernym bogactwem utrzymywała równowagę gospodarczą Europy, była jej spichrzem i stodołą. W samej Rosji zginęło 30 mil. ludzi od powietrza, głodu, ognia i wojny i czerezwycajki. Za te pieniądze możnaby... westchnąć tylko. A co za straty w całej Europie w ludziach pobitych, skaleczonych, wycofanych, zinwalidziących, apatycznych, malkontentów, desperatów i skrytych wrogów. A jakie straty w postępie, co za straszna porażka etyki, jakie cofnięcie się kultury, nauki i t. d. Zabitych w ostatniej wojnie z przyległościami było 22,850 tys., łącznie z milionami zabitych i rannych, zatrudnionych w wojennym prze-

myśle, plus nieobliczalne skutki teroru, bezgłównia, bankructwa, zamroczenia, okpiarstwa i moralnego obłądu.

Rosja straciła najwięcej i zrobiła najgorszy interes. Najmniej straciły i najwięcej zarobiły St. Zjedn. Tak się robi interes. Business is business. To już nie zarobek, ale granda. Jankiesi zgarnęli wszystko, co nie uleciało z dymem, nie utonęło i przepadło. Nawet z tego zdjęli kosztorys, z nędzy wycisnęli uncję radu, z chudości wyrznęli polędwicę. Pękł pocisk, ale zostaje rachuneczek, eksplodowała torpeda, ale kosztuje 20 tys. dolarów. Są dziś bankierem całego nędznego świata, podrapali niebo drapaczami, perłami kury karmią. Są przerażeni swym bogactwem, ale nic nie robią, by zmniejszyć przerażenie innych wobec swej ruiny, duszą się od złota, ale wolą zginąć niż dłużnikom ulżyć. Co dziesiąty robotnik ma samochód, i co piąty miliardier umiera od strachu przed zubożeniem. I wciąż mało, wciąż szukają dobrych interesów, oszczędzają, puchną, jak ich miasta kolosy, ich potworne domy, ich przemysł rozbijały do granic pęknięcia. Mocno trzymają za gardło swych dłużników, umieją mówić podniesionym głosem ze szpicrutą w łapach, z grymasem pogardy na wydatnych szczękach i obnażonych kłach. Kupują wszystko: obrazy, antyki, pałace historyczne, włoskich książąt i skórę starego tygrysa Clemenceau. Wydzierżawiają monopole, koleje, rządy. Ciągają, jak z domu w przeddzień jego licytacji. Targują się o korony z brylantów, koronne insignia, gwiazdy Andrzeja „pierwozwanawo” dla niekoronowanych głów miedzianych i naftowych królów, na wklęsłe piersi, w których stuka arytmometr i Remington. Dobijają targu o całą Francję i nie chcą nawet pytać o cenę Polski. Europa filją dolara, banki z pod gwiaździstej bandery spadają deszczem meteorów z przewagą żelaza, które pójdzie na podbój, a chude złoto do sejfów rodzimych. Lepiej więcej, niż mniej. Lepiej być najmłodszym członkiem zarządu najmniejszej fabryki szmalcu w Chicago, niż nieznany bohaterem, lepiej się „wżenić” w córkę króla pończoch, niż mieć historyczne nazwisko w Europie, lub być choćby notablem trzeciorzędnej nacji. Parszywieje Europa, tylko w Ameryce słońce i allmighty dollar.

Na naszych oczach odbyła się i wciąż się odbywa wielka wędrówka złota z Europy za ocean. Europa straciła 42% swego złota (niektórzy neutralni, np. Szwajcaria podwoiła swoje zapasy, Szwecja też zarobiła niemało) a St. Zj. zwiększyły swój olbrzymi

stan posiadania trzy razy. Przed wojną w Niemczech rezerwy kruszczowe wynosiły 4,180 mil. mk., po wojnie 820. W Rosji z 4,7 miljarda mk. zapasy złota spadły do poziomu 114 milionów.

Lecz najgorsze, że prócz złota bankier świata zgarnął też wdzięczność nędzarzy. Wszak gdyby nie kredyty z za oceanu, wojna skończyłaby się o wiele prędzej. Za to bądź wdzięczny. A za przysłane łachy, za okruciny z pańskich stołów musisz postawić w swem sercu i na placu pomniczek, dobrze, że choć marny. Europa ma za dużo wojen, jest chora na hypertrofię sporów i niechęci, ma zamało jedzenia, a za dużo kotłów, z których każdy bez warzy gotów łada chwila pęknąć. Ameryka ma za dużo pokoju, pieniędzy i ludzi, jest chorą na nadprodukcję i różne nadmiary. Te rzeczy są niebezpieczniejsze od europejskich. Najbliższa wielka wojna tam się rozpęta. Wojna o Kubę kosztowała tak mało, że pokrył wydatki Czerwony Krzyż, nalepiając znaczki na czek. Dał on dużo Europie, ale niewiele w stosunku do swych możliwości. I tu się zrobiło interes: oczyścili ludzie trochę swe kąty od starych rzeczy, z którymi nie wiedzieli co robić, zrobił się ruch w zbędnej instytucji, odsetki od odsetek poszły dobrze czynić. Za tak małą cenę zdobyło się wewnętrzne zadowolenie, uspokojenie sumienia i niezgorszą reklamę. Warte znacznie więcej, ale dziękujemy i za to.

* * *

Strajk formą wojny i kosztuje to samo, jeśli nie więcej. Strajk angielski górników przez 7 miesięcy kosztował 400 mil. funtów, co stanowi dwuchsetną część kosztów całej wojny i dziesięciokrotny budżet państwa polskiego w 26 r. Za te pieniądze możnaby w Anglii stworzyć raj. Tymczasem pozostała straszliwa wyrwa, zaognienie i zarzewie nowego strajku, który będzie kosztował jeszcze więcej. A te różne pomniejsze, a liczne, codzienne, jakie już były i jeszcze będą wszędzie, powszędę? Na koszt nie zważa, kto chce zarobić, nie rachuje potłuczonych szyb, komu się dom spalił. Poto istnieją pieniądze, by je wydawać, poto strajk, by go używać. Kto, gdzie i kogo oszczędził, kiedy nie oszczędził pieniędzy, ani czasu, ani ojczyzny, ani siebie i przyszłości swojej rodziny. Alkoholu się nie zląkł, strajku się ma bać? Wojny się nie boi, sumienia się przeleknie? Boga się nie boi, a jaki djabeł go zdoła zatrwożyć? Zawsze się wróży zdrowie z przelanej krwi, a z wydatków zysk. Gdyby człek nie wydawał, w złocieby chodził. A poco złoto, kiedy go nie można

wydać, zaimponować, wzbudzić zazdrość i konkurencję? Strajk jest chodzeniem w błocie po złoto, kapitał jazdą w złocie po błocie. Między nimi walka o złoto, a orężem błoto. Jeden drugiego utopiłby w błocie, a żaden nie odda ani swego marzenia, ani posiadania. Między żądzą i posiadaniem przestrzeń tylko fizyczna, między błotem i złotem niema żadnej przestrzeni, złoto leży w błocie, błoto na złocie. Nie zawaha się nikt sięgnąć i wejść w bagno, by dostać kruszec, bo pieniądź nigdy nie cuchnie, a błoto się w końcu wykruszy, krew się zmyje, fetor się ulotni. Jeżeli strajkujący winien, wina jego jest mniejsza od winy kapitału, jeżeli ten ostatni zawinił nie tylko przez swoje istnienie, jak chce partja. Niech żyją obaj sprawcy niszczenia życia!

Skutek wojny.

Wojna spowoduje depresję ducha, czyli największą jego stratę. Właściwością ducha—lot niezależny i wolny, tchnie tam, dokąd ciąży jego istota. Duch w depresji nie leci, lecz leży, czyli nie spełnia swej zasadniczej funkcji. Depresja jest specjalną chorobą powojenną, jak różne choroby wyspecjalizowane na wojnie, jak bankructwo finansowe i inflacja. Kiedy się jest chorym, kiedy chorzeje każdy członek organizmu, kiedy wszystko jest wrażliwe na ból, jęczy, stęka, i na to nikt nie poradzi, wtedy duch upada, staje się też nieporadnym, o zwichniętych skrzydłach, też jęczy i nie znajduje żadnej w niczem pociechy, wątpi, złorzeczy, bluźni, jest ciężarem dla siebie i dla swojej nieporadnej i także walczącej z ciężkim kryzysem ojczyzny.

Od upadku ducha datuje się rzeczywista strata, tu początek jego zatrucia i źródło bólu. Upadek wyraża się w wyczerpaniu, stąd on pochodzi, tu się skończy śmiercią lub wyzdrowieniem. Jak kiedy się wyczerpie studnię w czasie pożaru, zostanie na jej dnie tylko błoto, tak na dnie produkcji materialnej i twórczości duchowej osiada błoto, które wydaje miazmaty, malarję i insanację. Błoto można urabiać i ugniatać dowoli, pozostanie zawsze błotem. Wyczerpana produkcja materialna wystarcza zaledwie na skromne i niedostatne dziś, nie wierzy w przyszłość i trwożnie spogląda na ponure i widmowe jutro. Dawna ekspansja, prężność, rozlewność, rynki, horyzonty, konkurencje, zapal i wiara popłynęły wraz z wodą i rozwiały się z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej.

To samo z twórczością ducha. Zanadto był on pochłonięty przez wojnę, by się łatwo otrząsnął od ponurych widzeń i wspomnień i zaczął przerwany lot szlakami wyżyn. Wciąż wraca tam, skąd chce wylecieć i uciec, jakby uwiązany na cienkiej nici, ale wystarczająco mocnej, by służyła za łańcuchy. Pracuje wciąż w tym samym kierunku, myśli temi samemi myślami, tworzy przez inercję z tą samą bezsiłą, która go pchała do niszczenia twórczości i do zabójstwa ducha. Dlatego to bezpośrednio po wojnie pracuje się i tworzy dla nowej wojny, dla niej się wysila szeroko rozhuśtana myśl, a jeszcze nienasycona i nigdy nie uspokojona w twórczości pokoju i cichego szczęścia, jakie daje twórczość; dla niej wynalazki rozumu, wysiłki dyplomacji i mowy retorów. Duch się boi nowej wojny i tego, by ona się nie obeszła bez niego, nie zapomniała o nim. Rozumie, że jego ponowny udział w możliwej wojnie byłby jego zgubą, ale nie może otrząść z siebie koszmaru i wciąż drepcze w tym samym kierunku, w szlach starego konania. Powojenna depresja nie ma w sobie nic z prawdziwej twórczości w żadnej dziedzinie, są tam tylko przysposobienia nowego do starych zakrwawionych ram, powtarzanie nowych refrenów w starym tonie, chodzenie w kółko, odgrzewanie zastarzałych racji do nienawiści, odgrzebywanie dawnych niechęci, wyprzedaż zdobyczy wieków, licytacja pozostałych walorów. Stare umiera w goryczy, młode starzeje w tem samem zniechęceniu, rodzi się nie rokujące wielkiej przyszłości, dorasta już zatrute gazem wojny i jeszcze nie mogące zapomnieć o dawno pogrzebanych motywach kłótni. Ginie wiara w podstawowe racje bytu materialnego i duchowego: w pracę, oszczędność, wysiłek, poświęcenie, wyrzeczenie się i w kulturę. Zanika nadzieja na lepsze jutro, a miłość w jej różnych zastosowaniach staje się tak rzadka, że aż śmieszna. Praca się nie popłaca, zwłaszcza bezinteresowna, twórcza praca dla samej pracy: zabiła ją zarobkowość i nędza, spoglądająca ponuro na brak pracy i nadmiar rąk do pracy. Oszczędzać niema poci i niema z czego (3 złote oszczędności na każdego w Polsce). Zresztą dużą część zarobku pochłania chęć użycia, zabawy, zapomnienia. Wysilać się niema dla kogo, entuzjazmować się jak dawniej nad byle zakazaną broszurą z Krakowa, nad bohaterstwem przodków, nad zdobyczami żmudnego dnia mrówczej pracy — śmiesznie, bezcelowo i niemodnie. Sceptycyzm zajął miejsce entuzjazmu, a góra braków i życie brakowne zastąpiły

troskliwość o dobro narodu. O poświęceniu się, wyrzeczeniu niema mowy, są to cnoty niesłychane, niemożliwe i zbędne. Kto ich oceni i komu one są potrzebne? Można się więcej narazić i zaszkodzić sobie, niż pomóc innym. Troska o siebie, o swój los nie w zagadkowej przyszłości, w którą nikt nie zagląda, ale o dziś, o prymitywy i imponderabilia: coby człek jadł, coby pił, w coby się przyodział, czyli te same miazdzące troski, które stanowiły główny motyw dni wojny, nieudźwignionych od zmartwień i wycieńczonych od łez i niedojadania,—te troski pieją i dziś lamentoso tę samą pieśń codzienności, a motywami jej prymitywne i dysharmonijne jęki domniemanej krzywdy, prośby o jałmużnę, wołania o ratunek.

Kultura idzie pełną parą wstecz, niepowstrzymanie i decydująco. I wtedy upada. Stoimy i biadamy nad jej upadkiem, nad swoim upadkiem, nad powszechną bezsprzeczną i jasną prostracją ideałów i zmierzchem wszystkich bogów, choćby nie wiem jak przeczyli temu ci, którzy może mają mniej racji do wyrzekań, głębszy oddech, prostszą filozofję i więcej spokojnej pewności.

Pozostaje nikła pociecha, że to okres przejściowy, że kryzys minie, jak wszystko przemija, nie wyłączając życia i skutków wojny. Bez nadziei nie podobno żyć, bez pociechy niema nadziei, a ta śpiewa rzewliwie, że trzeba poczekać, aż burza przeminie, że trzeba mieć cierpliwość etc. Czekać! — oto wszystko co nam pozostało po stracie, mała reszka po kolosalnem załamaniu się i krachu. Czekajmy, — coż mamy innego do roboty, i jakie inne wyjście się otwiera z sytuacji bez wyjścia? Czekajmy, aż się wszystko ocknie, rozejrzy, odetchnie, nabierze nowych sił i świeżego powietrza, uspokoi się, wyszumi, przefermentuje, odcedzi, wyleje i ujrzy zwid szczęścia w wyzwoleniu. Albo ja wiem? — może to racja, może to rzecz potrzebna i konieczna czekać na pogodę i czekać na los. Może naród, który wszak nieraz jeszcze będzie dźwigał skutki nowych wojen, ma w sobie więcej prężności niż przemijanie i oczekiwanie na przemiany. Jakoś tam będzie. Na dziś niech wystarczy smępna filozofja cudu zmartwychwstania, który mało kogo interesuje i jeszcze mniej pociesza. Ogrom szczęścia, jaki spadł na nas, na nasze zbiedzone pokolenie, jaki widzimy własnymi oczami i nie oceniamy w swych zmartwionych duszyczkach, tak mało nam mówi i tak niewielu pociesza, bo duch leży, bo ogarnęła go depresja. Za setną część tego szczęścia nasi przodkowie

z radością oddaliby życie, ale oni nie żyli depresją i nie oddychali trującymi gazami, ich duch był silny, nieugięty i hartowny, był z innej dawniejszej stali, kiedy wszystko było jakieś solidniejsze, trwalsze i jaśniejsze, nie na miarę dzisiejszego dnia. Zresztą, oni nie przeżywali takiej wojny i takich skutków. Naród był inny, młodszy i nowszy, bujniej wierzący, pełny twórczej nadziei i spokojnego spoglądania w ślepią przemocy, nieustraszenie znoszący swe biedy, z miłością ogarniający w sobie rozstrzelane promienie cnoty, ogniskujący w wielkiej soczewce swego ducha pewność wiary i ziszczenie nadziei.

Najcięższe straty ponosi dusza ludzka. Ciało może stracić najwyżej życie, ale dusza może stracić więcej ponad zrozumienie i możliwość. Wojna się toczy właściwie o duszę człowieka. *De anima tua res agitur*. Nie spór scholastyczny, nie dysputa dwóch adwersarzy, ale żywa i prawdziwa walka, w której jeden legnie trupem, — gorzej, bo utraci duszę, wobec której utracony lub pozyskany cały świat jest żadną stratą i żadnym zyskiem. Chata wuja Toma, białe niewolnice, sprzedające się i sprzedane, ocukrzone melodramaty, boskie i ludzkie komedje i arcyfarsy wycisnęły i wycisnąć będą tonny łez słodkich i miłych jak współczucie i malinowy syrop. Wojny i bolszewizm wycisnęły łyżę gorzkie i palące, od których gaśnie słońce i serce się spopiela, potworzyły one nowe morza krwawych łez, które kiedyś zatopią słone miasta niesprawiedliwej ziemi. Ale świat śpiesznie przechodzi nad tem do porządeczku, pobożnie mruczając usprawiedliwienia, co brzmią jak wyroki.

Natomiast straty w duszach, *ipsissima* i istotna strata, rzeczywista *perditio*, z której Judasz się gorszył, a „chrześcijanie“ „konstatują“ lub nie, — te nieobliczalne katastrofy, wszechświatowy horror i krach, są sprawami pierwszej wagi, międzynarodową kwestją niecierpiącą zwłoki ani dnia ani godziny, wobec której wszystkie inne kwestje niecierpiące zwłoki i brzemienne nową wojną i kataklizmem, są „weselem Fonsia“ lub ciężką chorobą lalki.

Ale ludzkiego konsorcjum, co ma dusze oddane w sublokatorstwo, w długoletnią dzierżawę nieczystemu, umieszczone w złotym interesie, w rentującym przedsiębiorstwie, w prosperującej i niezawodnej materji, co zaprzecza istnieniu duszy, co gości chronicznie siedmiu najczarniejszych demonów z Asma-deuszem, księciem pożądlivości dóbr na czele, co sprzedało swą

duszą za trzy tyńfy i wypisało rewers, podkrecając wąsa, — te palące sprawy nie palą, nie naglą, nie są wogóle sprawami, są niczem, najwyżej *quantité négligeable*, nad którą można i należy przejść i t. d.

Wycieńczenie

Na wojnę zawsze się znajdują pieniądze, poszuka się ich na przygotowanie się do wojny, z pod serca się wyciągnie przeróżne miljardowe sumy zapomóg, kredytów, wydatków poufnych, nieprzewidzianych i gadzinowych. Podeprą biedulkę, wspomogą, a jakże! Wleją nową krew, dodadzą nowych sił, kiedy się wyczerpie, nie pożałują własnej krwi dla transfuzji i własnych gruczołów do przeszczepienia, wypieszczą, wycalują, udekorują, patetycznie wychwalą, pobożnie wymodlą,—i oto starzejący się Mars znowu gotów do boju, znów ściąga na siebie wzrok mężów i westchnienia dziewcząt. Znów Neptun wysadza z odmętów kudłatą głowę i węszy, jak buldog: gdzieś tu pachnie pańcernikiem.

Nie, nie umrze nigdy, choćby świat miał zginąć, choć zginie. Próbowano go wycieńczyć przez 7 lat, przez 30, przez 100 lat,—napróżno. Próbował Kserkses ochłostać go batem, Aleksander wielki zamęczyć wielkimi marszami, Napoleon zamrozić i zesłać na wyspę, inni zatopić pod Trafalgarem i Cuszimą, próbowano go ostatnimi latami zrujnować finansowo i znieprawić moralnie, próbowano namówić w pałacu pokoju, żeby założył sklep podrabianych antyków lub haftów i koronek i żył jak porządna kobieta, darowywano mu taksówkę, żeby sobie zarabiał na życie uczciwie, jak wyranżerowany wielki książę, ofiarowywano mu rentę i chleb bene meritorium, — napróżno. Jak skończony mistrz albo jest sobą, albo go niema wcale. Tedy żyje, kwitnie coraz bardziej, pod różnemi nazwami, Aresa i Odyna, i niema obawy, by kiedykolwiek umarł. Jest w lepszej kondycji i konsystencji niż żyd (kon) wieczny tułacz. Od Marsa nie uciekają, jak od powietrza, głodu i ognia, lecz wszyscy się garną, jak do ciepła i szczęścia. Czas jego sprzymierzeńcem i przyjacielem, człowiek jego parobkiem, dyplomacie skrytką jego zamiarów, banki, trusty i kartele jego szufladą i sekretarzem, ślepy los zwrotniczym na jego oblędnych drogach do katastrofy.

Jaki szaleniec oddał mu swój czas i młodość, zdrowie i siły, życie i przyszłość, najwyższe walory i najprzedniejsze możli-

wości? Jaki desperat zaciągnął się do niego na służbę, której kontraktem śmierć,—jaki naiwny powierzył mu swoje sekrety, zamiary, projekty, plany i cele? jaki warjat pożyczył mu, za poręczeniem powietrza, głodu i ognia swe ostatnie krwawe oszczędności? Jaki los związał nasze losy z jego obłądnem przedsięwzięciem?

Ach! nie umrze on nigdy, dopóki istnieją ostatni dwaj bracia Kain i Abel. Z ostatnim Kainem stoczy osobiście ostatni mistrzowski śmierciobój, zarznie go lege artis, podług najnowszych prawideł i praw wojny, i zostanie sam, tryumfator i zdobywca. Ale jego samotność, to jego koniec. Zawyje wtedy, jak szakał, jak ciężki pocisk, jak śmigło, rzuci się na swój miecz, jak ostatni Rzymianin, ostatnia pieczęć krwi na skrwawionej ziemi ostatniego z walecznych Mohikanów. Wtedy ziemia pocznie oddawać wszystką krew, jaką wchłonęła od krwi Abła sprawiedliwego do krwi proroka, zabitego między przedsionkiem i ołtarzem, do ostatniej kropli krwi, rzekami płynącej po wszystkich polach, dołach, drogach i opłotkach. Umrze bez żalu do nikogo i przez nikogo nie żałowany. Umrze bez skargi na los, bo wypadł mu upalny, pracowity i pełny chwały, umrze bez narzekania na przeszłość, bo ta była mu doradczynią lepszego wojowania,—umrze, nie klnąc losu tułaczego, jako sam twórca tułactwa. Ale dopóki człowiek żyje, żyje jego towarzysz, cień, alter ego, kroczy za człowiekiem, obok niego i przed nim, postępuje wślad za jego postępem, jest heroldem jego spraw, inspiratorem rewanżu, szczuciem zemsty, doboszem jego moralności, strategicznym planem kultury i generalnym sztabem życiowych porażek. Nie napróżno Mars się nazywa Gradivus, t. j. postępowy, idący naprzód.

Tak. Pieniądze się znajdują, bo gdzie krew, tam pieniądze. Nie znaczy to, że krew czegoś warta, nie, za jej rozlanie nawet się dopłaca, ceni się ona niżej własnych kosztów, mniej warta od produkcji i nie warta kosztówłożonych na jej utrzymanie. Ale to znaczy, że wielka dystylarnia krwi jest jednocześnie mennicą fałszywych walorów. Na pieniądzach stempel krwi, we krwi szelest i zapach pieniędzy. Pieniądze pachną wiosną i miodem i nigdy nie cuchną,—krew ma zapach żelaza i prochu. Składnikiem krwi też żelazo, a kiedy chemja medyczna udoskonali się, to wykryje niewątpliwie, że elementem krwi jest też i pieniądz. Odkryto wszak stosunkowo niedawno, że krew krąży jak pieniądz, że ma białe i czerwone krążki, jak świeżo odbite srebro i czerwonce, a po ostatniej wojnie odkryto ze zdziwieniem, że

pieniądz to chora lub zdrowa krew w organizmie ekonomji państwa, że inflacja to choroba krwi,—dlaczegożby krew nie miała zawierać w sobie składników pieniędzy: brudu, bakterji, ażyotu, żądy, zazdrości i zbrodni? Ależ ma, napewno ma! Poleca się to uwadze eksperymentalnej chemji wojennego pogotowia. Niektóra krew, bardzo pożądana, ma oczywiście stosownie wielką cenę, nie tak znowu bardzo, bo nawet tak ceniący krew i wyrachowany sprzedawca cudzej krwi, jak żyd Judasz, sprzedał ją tak tanio, że wystarczyło tego zaledwie na kupno łachmana pola krwi (ager sanguinis — Haceldama), skrwawionej szmaty ziem cmentarnej dla samobójców, cudzoziemców i psów.

Pieniądze się znajdują napewno, jeśli idzie o krew. Ale nie ma ich nigdy, jeśli idzie o uszlachetnienie rasy, odnowienie krwi, polepszenie warunków jej bytu, powiększenie ilości witamin i odrodzenie człowieka. Napróżno tysiące potrzeb naglących i konieczności pierwszej wagi wyciągają ze swego barłogu wychudzone dłonie z żalosną prośbą o ratunek, ale pieniądz jest twardy i czuły tylko na rachunek bezcelowych strat i szastania bez liku na rzecz wojny, na jej tualety, pachnidła, samochody, samoloty i jaszczce. Napróżno bicze ludzkości: gruźlica, syfilis i rak czekają na swego poskromiciela, na sfinansowanie wielkich możliwości życia, ale dla pieniądza te rzeczy nie są straszne, są one takimi dla człowieka, nad którym pieniądz ma jeszcze straszniejszą władzę. Wali go bat chorób i nieszczęść, biczuje go straszliwa siła mamony. Wszystko zniesie i umrze heroicznie, byle pieniądz żył. Umierając, zapisze z krzywdą najbliższych na stypendjum dla wynalazcy najlepszego trującego gazu. Napróżno rodzina nałogowca oczekuje okruchów pozostałych od jego namiętności i robi złudne nadzieje i obliczenia, stojąc co sobota u wrót fabryki, gdzie kuja oręż i odlewają armaty, skąd kapie skąpo marna zapłata za pot i krew. Napróżno kultura wygląda uregulowania zaciągniętych wobec niej zobowiązań, honorowych długów i terminów, dotrzymania przysięg i uroczystych obietnic. Tem żyje i utrzymuje swe ukochane dzieci, czem sama, jako wierna i nieszczęśliwa żona, własnymi bohaterскими rękami z nędznych resztek wyzysku i krzywdy zapracuje, piorąc cudze brudy. W zniechęceniu i goryczy biada ustami swych najlepszych synów: pociąg się związała z tym człowiekiem, rozciąłaś swe życie, zaprzepaściłaś szczęście, zgubiłaś radość i młodość! W chwilach rozpacz

i wyczerpania gotowa utopić swe dzieci i sama się powiesić w opuszczonym młynie. W chwilach względnego spokoju oblicza i mierzy, co by się dało zrobić „za te pieniądze“, ile nieogarnionych możliwości, jakie raje wyśnione, ile ogrodów bajecznych, jakie wychowanie dzieci, jaki dostatek, spokój i rozkosz mogłyby się urzeczywistnić.

Niech zginie przeklęty nałóg, niech będzie przeklęty ten człowiek, ten pierwszy, co wymyślił, wysilił się i skusił. Niech będzie przeklęte złoto, krew i zbrodnia! Niech zginie cały świat, byle żył ten „jej człowiek“, twórca zguby i krzywdziiciel, wyrafinowany zbrodniarz i morderca najbliższych. Tego jedyne nie może przekląć, bo przekląła by sama siebie. Wtedy byłby koniec naprawdę.

Ale przeklnie go własna namiętność, uśmierci nieugaszona żądza i wtedy już będzie koniec jego i jego wiernej nieszcześliwej małżonki kultury, sponiewieranej i skopanej, koniec ich wspólnych wysiłonych zdobyczy, ich byłego szczęścia, wciąż spodziewanego, wciąż marząco wyglądanego, co było tak kusząco blizkie i okazało się tak dalekie i nieziszczone.

O f i a r y.

Po drogach i bezdrożach, w koleinach rozbitych i wyoranych pracowicie przez setki tysięcy kół, sunie się śmiertelnie znużony, niekończący się, długi jak wieczność, smutny jak życie i okropny jak wojna, łańcuch wozów, różnego kształtu i kalibru, o jednakowej zawartości spotęgowanej nędzy, powiązany wspólnym powrozem niedoli ofiar wojny. Jako wielkie dobrodziejstwo ludzkości, wojna obficie zbiera szczerze sypane ofiary. Z tego się tworzy olbrzymi kapitał, niezliczony stos, który śmierć zrealizuje, ulokuje, sprawiedliwie rozda, litosiernie przytuli, miałko przysypie i prędko zapomni.

Szlakiem wojny sunie się karawana uchodźców, odbywa się wielka pielgrzymka narodów. Kilka miljonów ludzi i tyleż wojska odpływa na wschód, skąd światło i bezpieczeństwo, idzie o kiju i zebrany chleb jedyną szosą i tysiącem pierwotnych dróg. Poważnie i w tępej milczeniu turkoczą żałobne wozy ofiar wojny, a że ich jest wielka, nadmiernie wielka liczba, więc też nadmiernie wielka jest ilość wozów o jednej zawartości strachu przed wojną i ucieczki przed śmiercią. Powoli, nieuroczyście, w obło-

kach kurzu, w zgrzycie niedopasowań i przekleństw, w tępem zobojętnieniu, pod eskortą epidemji i śmierci, w upalnym powietrzu, w którem czuć fetor rozkładu i wielooki strach, toczy się nieskładny, wielki, groteskowy karawan trupów, co jeszcze żyją, ale już niedługo umrą i dlatego są obojętni na życie i śmierć.

Wóz uchodźcy, to jak rzeczy wyrzucone z pośpiechem z pożaru, lub z wagonu reemigracji. Ile płonących chałup, ile towarowych wagonów w pociągu, tyle żałobnych kupek gratów, a nad nimi gromadki ludzi bezradnych i strwożonych. Wóz o wielkich drabinach, jak do siana miał czas ułożyć się, więc też wszystko na niem w porządku: wisi wiadro i maźnica, sterczy kufer, statek, owczy łeb i główka dziecka, a wszystkiego tak wiele, że wóz płynie jak arka, aż utknie gdzieś na najwyższej górze w Armenji, o której ani ucho chrześcijańskie nie słyszało, ani serce przeczuło, że coś takiego może się zdarzyć człowiekowi.

Zbielałe piaski pustyni znaczone są trupami zwierząt, które naprzód oznaczyły swemi kośćmi dziki szlak drogi do nor życia, do oazy bezpieczeństwa, do cieniów wiecznego odpoczynienia. Naprzód poszły drobniejsze: gęsi, owce, świnie, statki gospodarskie, koła, wozy, potem krowy, konie, potem ludzie. Ludzie marli, jak w czasie powietrza i wojny. Ich żółciutkie mogiłki ustawiły się rzędem wzdłuż drogi, jak na cmentarzu.

Naprzód zmarło mu dziecko. Wykopali dołek, trumienkę jakoś sklecieli, ludzie pomogli, nawet pośpiewali trochę, jako że niewiadomo, co komu się może przydarzyć. Potem poszło drugie, a potem ostatnie: „na laksy”. Już mniej po chrześcijańsku się sprawiono, a z pośpiechem i klęciem. Aż żona mu zesłała: zabrali ją na jakimś etapie. Niewiadomo, czy żyje, czy choć pochowano, bo już nie pamiętał, był mało przytomny, ostałby się oto na tej ziemi i gryzłby ją z żalu a ze skargą, ale pognali dalej. I przyszła kryska. Niekierowany koń wyrzucił wóz, wywalił się trup gospodarski i cała chudoba. Tak leżał coś z pięć dni, już mu wrony wydziobały oczy te szare, pocziwe, mazurskie. Litościwi ludzie konia zabrali, koła zdjęli, gratów co lepszych przetrzęśli. A kiedy front wojenny cokolwiek się ustalił, zaczął „Czerwony krzyż” zbiórkę trupów, rozrzuconych obficie po drogach. Wtedy składano ofiary do jednej skarby, do wspólnego dołu pod jednym mianownikiem, nic nie mówiącym, a wymownym napisem w urzędowym języku i stylu: „mogiła bieżenców”.

Wzięli ich z ziemi z braćmi pospołu
I do wspólnego rzucili dołu,
Grób zakopali, grób przydeptali,
Chwilkę stanęli — i poszli dalej (Or-ot)

Te kurhany, jak drogowskazy, mówią dziś przechodniom, że tędy
szła burza i zostawiła rumowiska i śmierć.

Białą wstęgą rzuconą na przełaj przez pola, lasy i rzeki
ciągnie się bita droga, jedyny łącznik z zachodem, zazwyczaj pusta
i równa, dziś natłoczona po brzegi. Dwoma rzędami po wyr-
wach wyrzniętych przez ciężkie działa, idzie, sunie się zwolna,
czasami przystaje, czasami się zatnie na pół dnia smutny koro-
wód uchodźców. Po jednej stronie wojsko, po drugiej wozy
wieśniacze. Wojsko ma pierwszeństwo, wieś się zaledwo tole-
ruje, ale jest coś rzewnego w tej zgodzie wspólnego losu. Idą
ramię przy ramieniu, wóz przy wozie, wojskowi i cywilni uchodźcy
od krzywdy. Czasem zepchną chłopstwo do przydrożnego rowu,
niekiedy koło armatnie w pędzie zawadzi o wóz i rozwali mu
przodek, niekiedy zastrzelą mimojazdem chłopskiego konia, bio-
rąc za krostę namulone od chomąta rany.

W drodze, w takiej drodze uszkodzenie wozu lub strata
konia to katastrofa. Lepiej samego chłopca zastrzelić, niż ode-
brać mu konia, lżej zniesie swoją śmierć, niż stratę wozu. A ko-
nie padają jak ludzie, wozy się psują i łamią. Ile mogił po
drodze, tyle kół potrzaskanych, tyle cichych dramatów. Idzie
to w nieopisanym kurzu, który się stał chlebem i wodą, które-
go pełne są oczy, płuca i dusza. Niema czem oddychać, i ani
kropki wody. Wszystkie studnie wyczerpano do błotnego dna,
o błoto biją się ludzie. O wodę i jadło trudniej niż na pustyni.
Na wozie chora żona i dzieci osowiałe, wciśnięte w ostry kąt
między skrzynią, kłonicą i zapaśnym chomątem. Włecze się
przy wozie, ledwo przesuwając nogami, chłop ze zwieszoną na
piersiach głową. Kazano oczyścić wieś; ledwośmy uszli ze trzy
stajania, a już się pali całusienka, Jezu mój miły! Z dwóch
stron podpalili ją kozunie. Zboże dostałe też się paliło, niebo
buchowało żarem. Przeżegnało się... i w drogę. W drodze zawsze
rażniej i jakaś otucha. Dopiero teraz przyszło, co musiało być
na początku, teraz kiedy się jest tak daleko od siebie i jeszcze
dalej od celu.

Dokąd i poco pędzi mazurskich, podlaskich i białoruskich
chłopów carski ukaz, samowola niepoczytalnych kacyków? Ale

z drugiej strony wali Niemiec, całe niebo stamtąd dzień w dzień czerwone, mówią ludzie... Na etapach, przy rzekach pełno, pełnusięńko, urwanie głowy, ani palca nie wetknąć i nic nie dostać prócz dyzenterji, i nic już niema do stracenia, prócz żony i własnego życia.

Dola sobacza...

Opium

Bolszewik mówi, że religia jest opjum dla narodu. Zdziwiłby się, dowiedziawszy się, że niektóre cechy analogji są trafne. Zdziwiłby się, bo wie i czuje, że w niczem nie ma racji, jak i w tem złośliwym porównaniu. Nic nie mówi on i nie twierdzi obiektywnie i z przekonania, ale ze złością i z wewnętrznem drżeniem, by nie uwierzono mu na słowo, lub nie zwrócono wcale uwagi na jego słowa. Szermierka i ruch są żywiołem lasecznika. W dyskusji najlepiej się ukręca łeb prawdzie. Agitacja na rzecz nieprawdy, na rzecz konieczności wojny i zgubności religji, jest ufundowaniem nowej wiary w starą niewiarę mówiącego. Dyskusje się zawiązuje tam, gdzie niema o czem mówić, gdzie polemizanci mają na względzie nie prawdę, lecz siebie i swój interes. Tylko interes wywołuje drżenie, prawda jest spokojna. Interes rzeczą niepewną, a prawdę zawsze można znaleźć, o ile jej się szuka, bo interes nie zawsze się nadarzy, choć go się szuka. Trzeba go brać jakim jest, droższym od czasu i pieniędzy: można na nim stracić jedno i drugie, grę i świeczki, ale też można wygrać dziesięciokrotnie i oświecić sobie drogę... do zguby.

Istotnie, w nowożytnem ujęciu religja ma cechy opium. Jest sprawą serca, osobistą sprawą. Ma zaspokoić uczucie, wlać balsam na krwawiące rany, dać zapomnienie i ulgę w oderwaniu się od brudów ziemi, w bujaniu w zaświatowej mgie. Wola i rozum nie mają tam nic do czynienia. Ekstaza, słodycz, ukojenie, a dla szerszego ogółu niedzielna Stimmung, uroczysta powaga i powiew wieczności jak dobra gra organów i gustowny śpiew psalmów. Ale ś. Teresa i Jan od krzyża dni upojenia liczyli na palcach, pośród nocy goryczy i zniechęcenia wyhodowała się ich religja, i świtać począł dzień świętości. O ich religji zdecydowała wola i rozum we wspólnie z uczuciem. Religijny sentyment jest łaską, za pomocą której forsuje się

wolę do czynu i rozum do posiadania wiary. Kiedy uczucie spłynie po kryształowej tafli serca, nie posiadając całej duszy i jej władz, wtedy następuje upadek ducha, większe zniechęcenie, jeden więcej dowód niewiary: działa reakcja opjum. Ono nie ma rozumu ani woli, lecz tylko chore uczucie. Do opjum się wraca, do tak pojętej religii nie.

Prawdziwa religia też może być porównaną, jeśli to konieczne, do opjum, ale bez złych jego skutków, bez zabójstwa woli, stępienia uczucia i zaniku rozumu. Daje ona cichą rezygnację, pogodę ducha, spokój w czasie burzy wojennej, rozkosz miłości, radosne wejrzenie w przyszłość, optymizm w najgorszym, życzliwość dla nieprzyjaciół i przyjaźń z Bogiem. Nie spycha w dół żadnej ze swych władz, nie zakopuje ich i nie torturuje, nie odurza się, nie opija i opala, nie przytępia, zaczadza, deformuje do reakcji wstrętu, bólu głowy i duszy, że trzeba czemprędzej brać nowe dawki trucizny. Wielkie jest pożądanie szczęścia, a nie masz ktoby nasycił nas prócz Boga.

Bez religii życie jest nieznośnem, zwłaszcza dla tych, którzy głębiej o niem myślą, więcej wymagają i silniej czują. Podobnie jak wielkie cierpienie byłoby nieznośne bez morfiny. Ona łagodzi ból i przytępia wrażliwość. Brak religii jest właśnie opjum, bo obniża najgórnieszą myśl, przytępia wolę i każe szukać zapomnienia i rozwiązania problemów tam, gdzie nie ma ani zapomnienia, ani odpowiedzi. Religia godzi nas z życiem i daje optymizm tym, którzy bez niej nie wiedzieliby, co robić ze swem życiem. Wtedy życie nie wydaje się złem i spoglądając na nie, robi się jaśniej i raźniej, jak temu, komu w bez nadziejnej sytuacji przyszła dobra nowina.

Opjumistów, morfinistów i alkoholików poznaje się z wyglądu jak wojskowych, z wyglądu (nie z ubrania i nazwy) ucznia Mistrza. Pierwsi wyglądają trupio, mają ziemnistą cerę, zgasłe oczy i ciężący ku ziemi korpus. Religijnych poznaje się z ich pogody, z jakiegoś wewnętrznego światła, z czegoś nieuchwytnego a pewnego, co jest wstępem do nieba, a jest z tej ziemi, nie będąc nią. Pierwszy przeklina swą usidloną wolę, siebie i ten pierwszy dzień i tego, który pierwszy... Drugi błogosławi, nie wie jak dziękować, jak się rozplýwać w uwielbieniu.

Nie. Nie religia jest opjum, lecz wojna, narzędzie katów i wrogów życia, mające smak krwi rozlanej, zapach trupów, astenję wyczerpania i odurzenie szaleństwa. Ona jak opjum

pozbawia ludzi rozumu, woli i każdego uczucia. Ona religią i Bogiem. Religja nie jest opjum, ale opjum jest religją. Wojna jest religją ludzi pozbawionych religji i wszelkiego kontaktu z Bogiem. Wojna religją djabła i błogosławieństwem piekła. W wojnie szukają szczęścia, a znajdują opjum. Przebudzenie bywa straszne, reakcja okropna, ból niezapomniany, ciężar nieudźwigniony. Podczas gdy narkotyzujących się jest dużo, a żyjących z tego i nawet bogacących się jeszcze więcej, to narkotyk wojny jest powszechny, a wszyscy ubożeją, i niewielu stąd posiada, choćby tak nikłe szczęście, jakie daje opjum i alkohol. Każdy narkotyk, zwłaszcza silny, bywa pozornie zabraniany, a do słabszych jak alkohol i tytoni wręcz zachęcają i ułatwiają, bo na nich się buduje byt państwa. W każdym zaś razie nikt nie pochwała, owszem, ktoś głędzi, ktoś kiwa butem a nawet głową, — ale wojna rzeczą nietykalną, bezsprzeczną, świętą.

Matką wynalazku ciekawość, macochą wojny też ciekawość, owa czarownica zguby ciała i duszy. Do opjum przywiodła ciekawość, do alkoholu i tytoniu to samo. Pierwsze wrażenie nie miłe: żałuje się tego i pogardza się sobą. Potem łatwiej, bo najtrudniejszy pierwszy krok. Wojna nie ma paroksyzmów żalu i wstrętu, wiedziona ciekawością, podsycana żądzą, rozpalona szałem, staje się drugą naturą... nieczłowieka, normą odczłowieczenia, odchyleniem od periferji zwykłych praw i ogólnoludzkich uczuć. Człowiek jest człowiekiem, dopóki nie przestanie nim być, dopóki nie rozpocznie robić interesów na wojnie. Żeby choć własny, ale cudzy, wojenny, najgorszy interes, jaki kiedykolwiek zrobiono... W tem braku jakiejś zatyczki i kleпки. Każdy człowiek z jego wadami i zaletami jest możliwy, dopóki się z nim nie zacznie interesu. Każdy człowiek sympatyczny, dopóki w nim nie zagra śledziona walki, kontrkombinacji, sprzeciwu. Każda góra ładna zdaleka, każdy majestat i władza groźne, dopóki się nie podejdzie bliżej. Żadna wielkość nie wytrzymuje w oczach służącego i w zastrzeżeniach żony. Każdy przełożony lubi brać swych ludzi pod mikroskop badania, każda władza tropi nielojalność, choćby z przywidzenia. W życiu trzeba udawać, kiedy tego wymaga interes, tylko przy śmierci i na wojnie udawanie zbyteczne. Tam są ludzie, jakimi są.

Parę przykładów. We wszechświatowej wojnie Węgry i Bawarczycy, dwa narody o wypróbowanem przywiązaniu do wiary i odwiecznej kulturze, chlubnie się odznaczyli, czy w każdym

razie nie zostali w tyle przy podziale laurów z racji wyrafinowanego okrucieństwa i bezcelowych, masowych mordów. Te kapliczki, zamiast słupów przydrożnych, tak gemütlich migające, ta dobrodusznna piwna postawa, simplicissimus humor zacnych ludzi, to winko chytrze sfalszowane, że zostało z niego nullum vinum Hungaricum, a tak uprzejmie i mile zachwalane i wtrynione, — to tylko pozór i winna farba. W potrzebie postawa się zmienia, staje się przepisowo stramm und brav, tygrysi skok zamigoce w zwyciężonych żrenicach, a pięście się ścisną szponami zbrojne. Biada współwyznawcom, bezbronnym mężom, nawet dzieciom, nawet kościołom, których tak dużo oni mają u siebie, biada owym czterem „k”, które tak usilnie propagował kajzer w swej ojczyźnie zawodowych terrorystów. Jeden tylko słowianin, trzeci głupi syn „mądrygo” ojca, sclavus saltans pod muzykę czardasza i Dudelsack’a, rządzący się jeszcze uczuciem, a nie przepisowym „rozumem”, uratował sytuację, i wdeptany w błoto sztandar godności człowieka znów zatknął na maszynie i dlatego był pobity i będzie bity.

Smutny epilog.

„O rany nasze z bratobójczych wojen — śpiewa Horacy — (paręset porżniętych chłopów porównaj, poeto, i t. d.) O nasz bezwstydnie rozżarty wieku! Barbarzyńcy przed jaką zbrodnią cofnęliśmy się, na cośmy się nie odważyli, pociągaliśmy się? Jestże jaka świętość, którejby się zlekła nasza młodość, jest jakiś ołtarz któryśmy uszanowali?” Wszak to motyw z nowożytnej jeremjady, który należy dociągnąć do powyższej potwornej statystyki. Z tego tonu, który dochodzi aż hen od ody wesołego używania, snuje się smętnie nowa szansona dociągnięta do najwyższej, iście piekielnej kakistofonji ciężkiego jęku tanków, zgrzytu nieskładnych wyważonych stosunków, chlupotu krwi i czerwonego śmiechu bestjalnych instynktów. Stąd płynie dziecinna śpiewanka o powojennem bogactwie a nędzy pospólnej, dziadowskie lamenty i zachryple krakanie nad rozległym cmentarzyskiem, nad nieprzaspanem odrętwieniem, nad zatwardziałem rozjuszeniem, ślepem i rozjątrzonem żarciem się grabarzy doli ludzkiej.

Co się zmieniło i odkąd? Zmieniła się tylko forma i rozmach doprowadzone do zda się nieskończonej potencji. I tak wciąż. Dalej — lepiej, śpiewniej, zamaszyciej, — z lepszym ga-

zem, z weselszą perspektywą, pewniejszym jutrem, dzikszym furor bellicosus, z pochrzęstem czerepów, którym się znudziło siedzieć na swoim miejscu, w uciążliwym bezustanku zabiegliwych starań o pokój i rozbrojenie wśród ostrych kryzysów i mocnych pytań życia, wiedzy i wiary, w rozhuśtanym kręgu szaleństw, w rozszczekaniu i kwaśności, drogami oślizgłego błota, na glinianych nogach, wzdęci obrzękiem, spoceni i krwawi, klnąc los upalny a bezwodny a pomyłony, — wkraczamy w gorsze jutro, w ciemniejszą przyszłość, w rozpęknięty padół.

Potem konsekwentnie będą wojny, jakich nie było ani będzie, zło dostanie szalu, a podłość się wścieknie. Powszechne biada, zazdrość umarłym, lęk przed synem i bratem, ostrość zimy, cwał koni apokaliptycznych, płacz kobiet, złorzeczenie silnych, świst oręża, bełkot strachu, wysuszające oczekiwanie rzeczy mających przyjść, stojących we drzwiach... Świat rozpęknięty nie przyjmie szukających schroniska we wnętrzu ziemi, ani przytuli do swych ziejących ogniem wądołów i wyrw steranych głów uchodźców od zbrodni, „bieżeńców“ od łun krzywdy, od wrzasków przemocy, od rozbastwienia człowieka.

Wtedy to naprawdę pokaże się najgorszość w zorzanej to-dze, tkanej złotymi promieniami na tęczowej osnowie, różanopalca i świetna, w chwalebny splendorze, w świetlistej otoczy, w mgłach kadzielnich, w hołdzie pochlebstwa, wszyskwiedząca przemyślna, wieleowocna, laurem okryta, w majestat zdobna, wielce strudzona i niepożycie zasłużona — „dnia codziennego podłość“. Ale wtedy to już naprawdę koniec, naprawdę ulga, radosne westchnienie, fomenta summorum dolorum, zmizerowany odpoczynek bólu i tryumfalny splendor dzwonów. Finis. Żniwo. Ogień.

* * *

Po pochyleniu wojennego rozumu stacza się wiara w człowieka, w celowość planu, w jakieś kryterjum dobra, w miłość genezyjską, jako motor wszystkości i usprawiedliwienie życia. Logika nawspak i sprawiedliwość w nawiasach rządzą w tem strasznem i ciężkiem życiu, gdzie demon tryumfuje, księżę czartowski hula, gdzie rej wodzi obłąkańcza sarabanda świadomych oszustów, lub powolnych narzędzi oszustwa, gdzie okropna kołowaczna, w której ludzie potracili głowy i przestali odróżniać prawicę od lewicy, gdzie głupstwo jest prawem, a prawo siłą, a całą spuściznę Chrystusa da się zmieścić na ostrzu bagnietów,

gdzie wojna wszystkich przeciw wszystkim wywiązuje się jako historyczna konieczność z bójki dwóch kupców, a prowadzona i przeprowadzona ze sprawnością tygrysa i dobrocią krokodyla, krwią bezbronnych, łzami sierot, kosztem jakichś zawrotnych „biljardów”, milionów głów i setek milionów złamanych istnień. Trudno mój panie, konieczność ekonomiczna, mowa tronowa, bajka o wilku, któremu baran wodę mącił, upust krwi, rynki zbytu, rywalizacja, nafta, Anglicy, i niech to wszystko...

I ksiądz wierzy w Opatrzność bożą! — zarzucał mi rosyjski oficer, kiedyśmy widzieli płonące wsie, słyszeli jęki konałych, złorzeczenie żywych, rechot karabinów, oddalony grzmot na tle niemigającej stałej łuny, co objęła pół nieba. I tak chronicznie od Cyrusa i epoki łupanego kamienia, kiedy wycinano, zaorywano i posypywano solą.

O Boże! dlaczego wymagasz tak wielkiej ofiary z rozumu i uczucia, bym dał tak ciężki okup za okrucieństwo wiary. Powtarzam zbielełymi ustami: wierzę Panie! Jak pop, na którego w powieści Andrejewa spadły naraz wszystkie hiobowe nieszczęścia; po bezdrożach błakając się w ciemną noc, oszalały i zdziwiony, przeżuwał nieustannie, jak coś niezrozumiałego, a jednak pewnego:--- wieruju, Hospodi!

Tyś dał okup większy, cenę niewspółmierną z rzekomo nikłym rezultatem z rozrzutnością Niebieskiego króla. Tyś wyrócił rachuby ludzkie, jak ongiś stoły wekslarzy, pozwolił ośmieszyć siebie i swoją sprawę przed motłochem ulicznym. Ty nie rachujący się ze względami i nie dbający o osoby, a prawdy swojej w prawdzie nauczający, o wielki i miłosierny, za wielki jak na naszą małość, za dobry na naszą podłość, zbyt cierpliwy, zanadto cichy i pokorny wśród szalonego świata, w kołowrocie zła, bądź błogosławiony! Gdy doświadczym Twego miłosierdzia, sami jesteśmy niemiłosierni, a wtedy wołamy sami straszni, żeś straszny o Panie, w niepojętych sądach, w niezbadanym rozumie, w nieubłaganych wyrokach, w słowach, co są ciemne, w wyrzutach ciężkich jak głaz. Będąc ślepy, nie widzimy, żeś miłosierny, litościwy i dobry, żeś Ojcem naszym pomimo wszystko, Ojcem przy łożu skaleczonego syna, Ojcem konających na poboju, przywalonych ciężkim kamieniem śmierci i czekających swego zmartwychwstania.





34727/
12